Nr. 41 (1137). Warszawa, 28 Września (11 Października) 1902 r. Rok XXII.

# PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**Prenumerata „Prawdy"**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

**W Warszawie**: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.

**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. 10.

**Za zmianę adresu** dopłaca się 20 kop.

***Adres: Sadowa Nr. 14.***

**Redaktor** przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

**Rękopisów nie odsyła się.** Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

**Przedpłatę przyjmują**: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

**Sprzedaż pojedynczych numerów** po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

**Administracya otwarta codziennie**, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.



## POLITYKA.

### Trójprzymierze - dwuprzymierze.

Znowu wytoczono przed trybunał dziennikarstwa sprawę szczerości przyjaźni między Austryą a Włochami w przymierzu potrójnem *eo ipso* zamkniętej. Dziennik gradecki, *Grazer Volksblatt*, otrzymał z Rzymu wiadomość, że irredentyści Tyrolu włoskiego i Tryestu, z powodu ominięcia posiadłości austryackich przez Wiktora Emanuela w drodze do Berlina wystosowali do niego telegram z hołdem należnym od Włochów królowi włoskiemu i że król na ten telegram odpowiedział podziękowaniem na tło patryotyczne rzuconem. Podziękowanie miało wprawdzie formę prywatną, ale w tej formie jest niewątpliwem. Wiedział król, że nie może występować wprost, zlecił tedy syndykowi Rzymu odczytanie dziękczynienia w cztery oczy, delegatowi irredentystów, a ten zaniósł je tym, dla których było przeznaczone. Dodaje *Volksblatt*, że taka uboczność nie zmienia istoty rzeczy: pozostaje zawsze wymiana sympatyi pomiędzy rządem obcym a poddanymi cesarza austryackiego.

Wiadomość dziennika gradeckiego mogłaby być nawet nieprawdziwą, aby coś z niej zostało: mianowicie przekonanie, że w Tyrolu włoskim są Włosi, wyciągający ręce do wspólnej upaństwowionej ojczyzny. Prawda miałaby tylko ten skutek, że zaogniłaby odrazu stosunki, które rozpalić się mają dopiero wtedy, gdy na Austryę stoczą się ze wszystkich stron świata przeciwności dziejowe i gdy piękna Italia, jak w r. 1866, znajdzie sposobność do wybawienia swych synów z otchłani. Przeświadczenie o cierniu tkwiącym w przymierzu potrójnem nie potrzebowało dopiero telegramu i podziękowania, aby w poważnej publicystyce być faktem rozumu, przerabiającego rzeczywistość na przekonania. Odrazu w r. 1882, po zawiązaniu się pierwszych sprzymierzeńczych stosunków publicystyka poważna widziała w przymierzu potrójnem utajone przymierze dwóch przeciwko trzeciemu: Pruso-Niemiec i Włoch przeciwko Austryi. Przymierze potrójne wydała z siebie mechanika równowagi europejskiej; jest ono więcej dyplomatycznem, niż politycznem. Przymierze dwóch jest zespoleniem się dwu jednomiennych interesów czysto już politycznym; wspólnym punktem wywarcia siły jest dla niego Austrya.

Przymierze potrójne jest zobowiązaniem już biegnącem; przymierze podwójne—dopiero wekslem wystawionym na przyszłość. Cesarz Wilhelm jasno jeszcze nie widzi co, kiedy i jak ma wziąć z Austryi; czuje tylko, że coś wziąć powinien. Gdyby nawet przyrost terytoryalny wcale go nie nęcił, przykuwałoby go do myśli tej odczuwanie się cesarzem wszystkich Niemców nietylko w Niemczech, ale i po za ich granicami. Mowa malborska taki nastrój samowiedzy Wilhelma II niewątpliwie stwierdziła. A popęd do zgromadzenia wszystkich Niemców pod swem skrzydłem, tem silniejszym być musi, im natarczywszem jest odrywanie się Niemców austryackich od Austryi. Pokusa z zewnątrz wzmacnia żądzę wewnątrz. W środku ubiegłego lata pojawiła się w Europie pogłoska o przedsięwziętem już przez cesarza prusko-niemieckiego rozbiorze Austryi. Oczywiście, nie mogło tu być mowy o rozpoczęciu roboty zaraz; była tylko mowa o układzie zasadniczym na przyszłość. Tak widziana pogłoska mogła być nieprawdziwą, ale nie była niedorzeczną: owszem, wypowiadała tylko to, co rozsądek za niewątpliwe uważać nakazuje. Wilhelm II dąży do rozbioru Austryi przez samo dążenie do zjednoczenia Niemców Czech, Moraw i arcyksięstw pod swem berłem.

Włosi mają widzenie jasne: chcą Trentina, Istryi z Tryestem; pragnęliby coś uratować z Dalmacyi, a w przyszłem zapadaniu się Turcyi zapewnić sobie Albanię, wprawdzie wcale już nie włoską, ale położoną nad Adryatykiem, naprzeciwko Włoch. Wszystko to mają nadzieję otrzymać od Niemców, gdy Niemcy obrócą się przeciwko Austryi. Zwrot taki może przyjść bardzo łatwo. Położenie monarchii austro-węgierskiej, stosunki jej wewnętrzne w związku z zewnętrznymi, w ostatniej chwili odjęłyby jej odwagę do bronienia Niemiec orężem, jak nakazuje przymierze: Niemcy wzięłyby odwet za sprzymierzeńca, który je zawiódł. Jeżeli we Francyi nie zabłyśnie żaden geniusz wojskowy, pokój z Francyą przyjdzie Niemcom bez trudu. Wtedy zwrócą się przeciwko Austryi, i wtedy też z przymierza utajonego skorzystają Włochy. Przymierze to jest jedynem szczerem związaniem się potęg politycznych, występujących w przymierzu. Ze stosunku Prus do Austryi szczerość jest tak samo wyłączona przez patrzeć umiejący rozsądek, jak w stosunku Włoch do Austryi zastępuje ją obłuda i wyczekiwanie przyszłości. Niemcy nie będą broniły Austryi, jak im nakazuje przymierze. Na początek udawać tylko będą pomoc, potem wręcz jawnie się przeciwko sprzymierzeńcowi zwrócą. Przykład Fryderyka Wilhelma II, moralność i etyka Fryderyka II — wskazały polityce pruskiej tor, którego się trzymać powinna.

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

*Standard* przewiduje interwencyę Austryi w zachodniej części półwyspu Bałkańskiego. Święta bułgarskie zakończyły się d. 1 października paradą 30-tysięcznego wojska. W wilajecie monastyrskim (Bitolia) oddziały zbrojne Bułgarów pod wodzą Junkowa. Są tam podobno i bandy niepłatnych żołnierzy tureckich. Komitet macedoński rozesłał po Europie odezwę o art. XXIII traktatu berlińskiego. Po 24 latach jest on wciąż martwą literą. Macedonia jęczy pod Turkiem. W Bułgaryi znajduje się już 100,000 zbiegów z pod panowania tureckiego. Jeśli traktat w San Stefano nie ma nanowo ożyć, Bułgarzy dopominają się od Europy autonomii, ze stolicą w Tessalonice. Autonomiczną Macedonię wytworzonoby z trzech wilajetów: skoplijskiego, monastyrskiego i salonickiego. Gubernator będzie na pięć lat z narodowości panującej. Z tej samej narodowości urzędnicy. Nad prowincyą czuwa zgromadzenie prowincyonalne. Wszelkie prawa osobiste zapewnione; wszystkie języki równouprawnione z tureckim. Budżet uchwalany przez zgromadzenie; tylko czwarta część dochodów idzie dla sułtana itd. Język panujący jest niewiadomą, którą znaleźć można będzie tylko z pomocą niezmiernie złożonego rachunku różniczkowego. Że tym „panującym“ nie okaże się język bułgarski — o tem chyba dwu zdań w Europie być nie może. Grecya i Rumunia dopominają się ukrócenia ruchu macedońskiego. W komitecie macedońskim w Sofii d. 5 b. m. przyszło do bójki. Stojanowicz zaproponował telegram do sułtana. Serbski *Dnewnik* oskarża Turków o okrucieństwa w Starej Serbii.

We Francyi nominacye nowych generałów: 5 dowódców korpusami, 6 — dywizyami; 13— brygadami. Wielki niepokój wywołał pogrzeb Zoli w Paryżu d. 5 b. m. Wojsko było uruchomione. Obawiano się walki nacyonalistów z radykalistami i socyalistami. Skończyło się wszystko na obawach; było tylko drobne starcie. Wygwizdano Jaurès'a. Dzienniki ministeryalne zapowiadają nowelę do prawa o stowarzyszeniach, obostrzającą przepisy przeciwko opornym kongregacyom, instytucyom rozwiązywanym i ich obrońcom. Na bankiecie republikanów-przemysłowców i kupców d. 5 b. m. Combes zapewnił, że nikt nie miłuje pokoju tak, jak Francya, nie przez słabość, bo ma armię dorównywającą innym, ale przez cywilizacyjną podniosłość. To jej zapewniło potężny sojusz. Nie obawia się ona ani nacyonalistów, ani monarchistów.

Z Austryi donoszą o projekcie głosowania powszechnego przy wybieraniu posłów do Rady państwa. Projekt ułożył sam p. Körber. — Rada zwołana być ma ok. 20 b. m. Ugoda w rokowaniach Szella z Körberem dość niepewna. Ciągłe falowanie: to dochodzi, to nie dochodzi. D. 6 b. m. sprawa stała rozpaczliwie. Obaj ministrowie mieli posłuchanie u cesarza, obaj mieli się podać do dymisyi. D. 8 b. m. zagajony sejm węgierski.

Wiec w Zagrzebiu z d. 5 b. m. wyraził ubolewanie z powodu zaburzeń wrześniowych, potępił waśnie narodowe i wezwał do zgody z Serbami. Urządzili go narodowcy wielkochorwaccy.

Wyniki spisu ludności z r. 1900, ogłoszone teraz, dają w Alzacyi tylko 198,173 osoby przyznające się do mowy francuskiej, a jeszcze w tej liczbie było 14,933 obywateli francuskich. Z 1,700 gmin pozostało tylko 311 mających większość francuską, 25 w Alzacyi, 286 w Lotaryngii. Liczby niemieckie wprawdzie, ale niedalekie od rzeczywistości.

Prasa węgierska uciera się z niemiecką o wyroki na Węgrzech przeciwko agitatorom wszechniemieckim. Jeden z nich uciekł za granicę.

W Tuntenhausen, w Bawaryi, na wiecu związku chłopskiego poseł Schädler krytykował słynny telegram ces. Wilhelma do księcia Luitpolda. Czy też będzie miał odwagę wystąpić z krytyką już nie na wiecu chłopskim w Bawaryi, ale w sejmie cesarstwa w Berlinie?

W Natalu Anglicy znieśli stan wojenny. Czterdziestu i jednego z pomiędzy jeńców trzymanych na Cejlonie, w drodze do kraju uwięzili pod zarzutem zdrady stanu.

W Wenezueli przecięcie drutu telegraficznego przez rząd wywołało starcie z Francyą. Poseł Stanów Zjednoczonych doniósł, że rząd zamierza przeciąć linę podmorską angielską. Gen. Matos i Mendoza mają razem 6 tysięcy wojska. Castro cofnął się przed nimi. Stany Zjednoczone nie pozwalają przewozić koleją panamską broni i amunicyi.

Na Filipinach wojska amerykańskie miały zdobyć trzy obozy powstańcze. Telegram z Waszyngtonu: zatem uspokojone już wyspy jeszcze uspakajać trzeba.

Stronnictwo demokratyczne w Stanach Zjednoczonych Ameryki półn. ma znów postawić kandydaturę Johnsona na prezydenta związku.

Rząd angielski zawarł z syamskim umowę o pogranicze, na którem znajdują się państewka lenne Syamu, Trengan i Kelantan. Anglia poręcza ich przynależność do królestwa syamskiego — przeciwko Francyi, która jednocześnie na mocy umowy zabiera prowincye Bassak i Maluprey.

Japonia powiększa swą flotę o 10 wielkich okrętów i pewną liczbę mniejszych, razem o 120,000 ton pojemności.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### POLEPSZENIE BYTU KLAS PRACUJĄCYCH.

W ostatnich czasach mamy do zanotowania kilka prób w sprawie polepszenia bytu klas pracujących.

Przedewszystkiem zaprowadzone zostało odszkodowanie robotników, pracujących w *rządowych* fabrykach i kopalniach, za nieszczęśliwe wypadki i choroby zawodowe, czyli nabyte przy pracy albo z powodu pracy. Odszkodowanie za nieszczęśliwe wypadki istnieje dziś już w innych państwach prawie wszędzie, i to dla robotników wszystkich przedsiebiorstw, nietylko rządowych, ale za choroby zawodowe — niema go wcale. Z drugiej strony w niektórych państwach istnieje zato ubezpieczenie obowiązkowe na wypadek choroby.

Otóż jeżeli nieszczęśliwy wypadek albo choroba pociąga za sobą zupełną niezdolność do zarobkowania, to poszkodowany otrzymuje rentę dożywotnią, równą $^2/_3$ przeciętnego zarobku rocznego, obliczonego na podstawie trzech lat ostatnich. Nieletni otrzymują w takim wypadku rentę w tej wysokości tylko do osiągnięcia pełnoletności, z nadejściem jej renta podnosi się do wysokości $^2/_3$ przeciętnego zarobku

---

Selma Lagerlöf.

## INGMARSONOWIE.

Gdy Ingmar i Brita zajechali przed kościół, zastali tam mnóstwo ludzi, siedzących na kamiennem ogrodzeniu, w oczekiwaniu nabożeństwa i przyglądających się każdemu, kto przybywał. Poznali zaraz Ingmara i Britę; zaczęli szeptać, trącać się łokciami i pokazywać palcami. Ingmar spojrzał na Britę. Siedziała ze złożonemi rękami i zdawała się nie wiedzieć, gdzie się znajduje. Nie widziała nikogo, zato Ingmar widział doskonale. Niektórzy biegli za wózkiem i zaglądali, co go bynajmniej nie dziwiło. Nie mogli przecie wierzyć własnym oczom, żeby on zajechał przed dom boży w towarzystwie tej, co udusiła dziecko.

— Tego już za dużo — pomyślał — tego już nie wytrzymam!

— Najlepiej wejdź zaraz do kościoła, Brito — mówił Ingmar, pomagając jej wysiąść z wózka.

— Naturalnie — odpowiedziała.

Wszak chciała się pomodlić, a nie spotykać z ludźmi.

Ingmar powoli odprzęgał konia i zadawał mu obrok. Wiele oczu zwracało się na niego, lecz nikt do niego nie przemówił. Kiedy nareszcie był gotów, większość pozajmowała już miejsca i zaczęto śpiewać psalmy wstępne. Ingmar, idąc środkiem kościoła, spojrzał w stronę, zajmowaną przez kobiety. Wszystkie ławki były zajęte, oprócz jednej, a w tej siedziała jedna tylko osoba. Zobaczył zaraz, że to była Brita i zrozumiał, że nikt nie chciał usiąść przy niej. Postąpił jeszcze parę kroków, zwrócił się nagle w stronę kobiecą, wszedł do ławki i usiadł przy Bricie. Wtedy dopiero podniosła zdziwione oczy i zrozumiała, dlaczego jest sama w ławce—przedtem nie widziała nic. Głęboki smutek zajął w niej miejsce świątecznego nastroju. Co to z tego będzie, co to z tego będzie? Nie powinna była nigdy jechać z nim. Łzy zakręciły się jej w oczach i dla powstrzymania płaczu wzięła do ręki stary psałterz, leżący na ławce i zaczęła czytać. Przewracała kartkę za kartką, nie widząc ani słowa z po za łez, których nie była w stanie powstrzymać. Nagle zabłysnęło coś czerwono — była to zakładka z czerwonem sercem. Wyjęła ją i podsunęła Ingmarowi. Widziała, jak schował ją w swej szerokiej dłoni, spojrzała ukradkiem, a po chwili była już na ziemi.

— Co to z nami będzie, co to z nami będzie, — myślała Brita, płacząc nad psałterzem.

Wyszli z kościoła, jak tylko pastor opuścił kazalnicę. Ingmar zaprzęgał pospiesznie, a Brita mu pomagała. Kiedy po błogosławieństwie i odśpiewaniu psalmu lud zaczął wychodzić z kościoła, już ich nie było. Myśli obojga były prawie jednakie. Kto dopuścił się tak wielkiej zbrodni, nie może przebywać pomiędzy ludźmi. Oboje czuli, że byli tam w kościele pod pręgierzem. Tego żadne z nich nie zniesie.

Po chwili ukazała się Ingmarowszczyzna. Brita nie mogła poznać zagrody, tak połyskiwała z daleka swemi czerwonemi ścianami. Przypomniała sobie, że odmalowanie miało nastąpić bezpośrednio przed ożenieniem się Ingmara, że ich ślub został dawniej odłożony z powodu kosztów tego odnawiania i zrozumiała, że teraz chciał wszystko naprawić, ale przychodziło mu to z trudnością.

Gdy wjechali na podwórze, domownicy byli przy obiedzie.

— Ot i gospodarz powrócił—odezwał się jeden z parobków.

Matka Marta podniosła się ociężale.

— Zostańcie wszyscy w izbie — rozkazała — niech nikt nie wstaje od stołu!

Staruszka szła leniwym krokiem, a czeladź zauważyła, że dla dodania sobie powagi narzuciła na ramiona jedwabny szal, a na głowę jedwabną chusteczkę. Była w drzwiach sieni, kiedy koń zatrzymał się przed gankiem.

Ingmar zeskoczył natychmiast, a Brita została na wózku. Przeszedł na jej stronę i odpiął fartuch.

— Cóż, nie wysiądziesz?

— Nie, nie wysiądę! — Zaniosła się od płaczu, zakrywając twarz rękoma. — Nie powinnam była nigdy tu powracać!

rocznego dorosłego robotnika w danym fachu. Jeżeli niezdolność do pracy jest tylko częściowa, czyli pociąga za sobą konieczność przyjęcia nadal pracy gorzej opłacanej, to odszkodowanie (renta) wynosi $^2/_3$ różnicy między zarobkiem dawniejszym a późniejszym. W razie śmierci poszkodowanego wdowa albo wdowiec (jeśli sam nie jest w stanie zarabiać na swe utrzymanie) otrzymuje połowę renty, którąby się należała zmarłemu. Dzieci do lat 16, jeżeli utraciły jedno z rodziców i żyją pod jednym dachem z pozostałem, otrzymują po $^1/_6$ renty, należnej zmarłemu, jeżeli dzieci jest nie więcej, niż dwoje, i po połowie z tej sumy dla każdego z następnych dzieci; jeżeli utraciły oboje rodziców, otrzymują po $^1/_3$ renty jednego z rodziców (tej, która była większa), lecz razem nie więcej, niż całość tej renty. Rodzice, których poszkodowany wyłącznie utrzymywał, dostają po $^1/_6$ jego renty. Wyjście za mąż wdowy lub sieroty poszkodowanej pociąga za sobą utratę renty; lecz wyjście za mąż robotnicy, otrzymującej rentę, jako odszkodowanie za własną chorobę lub kalectwo, nie jest powodem zawieszenia wypłaty. Poszkodowany jednak nie ma osobiście prawa do odszkodowania, jeżeli wypadek nieszczęśliwy albo choroba spowodowane zostały jego złą wolą; jednak w wypadku śmierci rodzinie pozostałej okoliczność ta nie odbiera praw do odszkodowania.

W celu zapewnienia robotnikom odszkodowania za wypadki przy pracy, powstało również „Iwanowo-Woznicsieńskie stowarzyszenie wzajemnego ubezpieczenia fabrykantów,“ którego statuty, wzorowane na statutach podobnego stowarzyszenia w Rydze, zatwierdzone zostały w r. b. Obejmuje ono swą działalnością dotychczas dwa powiaty (Szujski i Kowrowski) gub. Włodzimierskiej i trzy (Kineszmeński, Nerechteński i Jurjewiecki) gubernii Kostromskiej; zgromadzenie ogólne stowarzyszenia ma prawo rozszerzać działalność i na inne powiaty tych samych dwu gubernij. Tu jednak znajdujemy przedewszystkiem znaczne ograniczenie samego obowiązku odszkodowania, przeciw któremu stowarzyszenie asekuruje swoich członków-fabrykantów. Odszkodowanie należy się robotnikowi, jeśli go spotkał nieszczęśliwy wypadek w granicach fabryki albo po za nią, ale tylko przy wykonywaniu pracy, do której był zobowiązany; przytem odszkodowania niema wcale, jeżeli przyczyną nieszczęśliwego wypadku jest siła zewnętrzna, żywiołowa, której wybuchu niepodobna było przewidzieć albo mu zapobiedz, występne czyny osób, nienależących do danego przedsiebiorstwa, świadome czyny robotników, niewynikające z natury robót danego przedsiebiorstwa, z jego funkcyonowania, oraz zła wola albo gruba wina własna poszkodowanego. Przepisy te mają tę wadę, że są bardzo elastyczne. Jeżeli niema żadnej z wyżej wymienionych przeszkód, to wysokość rent wypłacanych jest następująca: W razie zupełnej niezdolności do pracy renta równa jest całemu zarobkowi rocznemu w ostatnim roku, o ile nie przewyższa on 300 rubli, w przeciwnym razie — tylko $^2/_3$, albo też $^3/_4$, jeśli poszkodowany ma rodzinę — ale nigdy mniej, niż 300 rb. W razie częściowej niezdolności do pracy odszkodowanie jest też częściowe, odpowiednio do strat. W razie śmierci poszkodowanego robotnika (albo urzędnika) wdowa lub wdowiec (niezdolni do zarobkowania) otrzymują połowę jego zarobku, jeżeli nie przewyższał on 180 rb., 40% — przy zarobkach od 180—300 rb. i tylko 30% przy zarobkach wyższych. Sieroty do lat 15 bez jednego z rodziców, zarówno jak rodzice poszkodowanego, jeśli ich utrzymywał, dostają odpowiednio po 25, 20 i 15% od tych sum; sieroty, pozbawione obojga rodziców — po 30, 25 i 20%. Suma wszystkich rent, należnych członkom rodziny poszkodowanego, nie może — przy odpowiednich wysokościach jego zarobku — przewyższać całości tego zarobku, względnie 80 i 60%.

Osoby, mające prawo do renty dożywotniej, mogą po porozumieniu się z towarzystwem ubezpieczeniowem, za wspólną zgodą, dostać zamiast renty jednorazowe odszkodowanie: jest to przepis dla poszkodowanych niebezpieczny.

W razie chwilowej niezdolności do pracy, stwierdzonej przez lekarza, wypłacany jest zarobek dzienny albo jego połowa, zależnie od okoliczności.

Towarzystwo przyjmuje do ubezpieczenia fabryki, zatrudniające nie mniej, niż 16 osób; wyłączone są fabryki materyałów wybuchowych.

Ważną rzeczą jest to, że obowiązkiem zarządu towarzystwa jest obmyślanie i przeprowadzanie środków bezpieczeństwa w fabrykach; fabrykanci, nieposłuszni pod tym względem wskazówkom zarządu, mogą być pociągnięci do opłacania wyższych składek ubezpieczeniowych, albo nawet z towarzystwa wyłączeni.

Do towarzystwa tego przystąpiły dotąd 34 firmy z 40,000 robotników i urzędników.

Dalej, przy zarządzie monopolu wódczanego istnieją kasy emerytalne dla pracujących i zapomogi dla chorych. Do pierwszej obowiązani są należeć urzędnicy nieetatowi płci obojga i robotnicy, mający stałą pensyę roczną. Płacą oni składki miesięczne w kwocie 6% pensyi i oprócz tego dodatki różne, jak 10% od gratyfikacyi, wpisowe w kwocie 10% od pierwszej pensyi rocznej, dodatki w razie podwyżki pensyi. Rząd dokłada połowę ogólnej sumy sześcioprocentowych składek członkowskich. Zato pracujący otrzymują po 15 latach służby całą włożoną przez siebie sumę z procentami i oprócz tego jednorazowy dodatek w kwocie od 25 do 85% należnej im sumy; w razie służby krótszej wypłacane są tylko włożone pieniądze wraz z procentami. Rodziny po zmarłych pracownikach otrzymują odpowiednie emerytury częściowe.

Pomoc dla chorych pracowników w zarządzie monopolu wódczanego zaprowadzona została w r. b. Polega ona na bezpłatnem leczeniu w szpitalu za decyzyą lekarza monopolowego przez dwa miesiące, wyjątkowo przez pół roku. Tylko ci pracownicy, którzy nabawili się choroby przy swojej pracy, leczeni są aż do wyzdrowienia. Przytem chorzy otrzymują zapomogę: 1) jeśli leczą się w szpitalu; to kawalerowie w wysokości $^1/_4$ pensyi, rodzinni $^2/_3$; jeśli leczą się w domu — $^1/_2$ i $^3/_4$. Położnice zwalniane są od pracy na 3 dni przed i 10 dni po rozwiązaniu i otrzymują 50% zarobku. Lekarz i lekarstwa są bezpłatne. Lekarz obowiązany jest dozorować lokale pod względem zdrowotnym.

Na uwagę zasługuje wreszcie cyrkularz

---

— Kiedy przyjechałaś, to wysiadaj!

— Odwieź mnie do miasta z powrotem, nie jestem ciebie godna!

Ingmar pomyślał może, że ma racyę, ale nie mówił nic, trzymał za fartuch i czekał.

— Co ona mówi?— zapytała matka Marta z sieni.

— Mówi, że nie jest nas godną— powtórzył Ingmar, bo płacz czynił niezrozumiałemi słowa Brity.

— A czego ona płacze?

— Bo jestem taką biedną grzesznicą — wyszlochała Brita, chwytając się za serce, które jej pękało z żalu.

— Co mówi?

— Bo jest taką biedną grzesznicą — powtórzył znów Ingmar.

Brita, słysząc, jakim zimnym, obojętnym głosem powtarzał jej słowa, zrozumiała istotne położenie. Nie, nigdy nie byłby w stanie uczynić tego, gdyby ją kochał, gdyby pozostał w nim ślad miłości dla niej. Teraz nie było już wątpliwości, teraz wiedziała już, co chciała wiedzieć.

— Dlaczego nie wysiada? — pytała dalej Marta.

Brita przemogła płacz i odpowiedziała głośno:

— Dlatego, że nie chcę robić Ingmara nieszczęśliwym.

— Sądzę, że ma słuszność — rzekła gospodyni. — Pozwól jej jechać, Ingmarze, lub dowiedz się przynajmniej, że w przeciwnym razie ja wyjadę. Nie chciałabym jednej nocy przespać pod tym samym dachem z taką...

— Jedźmy, na miłość boską! — jęczała Brita.

Ingmar zaklął, zawrócił konia i wskoczył na bryczkę. Znudzony był tem wszystkiem i nie miał sił walczyć dłużej. Droga była pełna ludzi, powracających z kościoła. Żeby uniknąć spotkań, Ingmar skręcił na leśną drożynę, wązką i kamienistą, ale którą w jednego konia przejechać było można. W chwili, kiedy nawracał, ktoś zawołał na niego. Obejrzał się — był to listonosz. Wziął list, schował do kieszeni i wjechał w las.

Gdy tylko zajechał tak daleko, że nikt nie mógł zobaczyć go z drogi, zatrzymał konia i wyjął list. W tej chwili Brita położyła mu rękę na ramieniu:

— Nie czytaj tego! — rzekła.

— Dlaczego miałbym nie czytać?

— Tam nic niema ciekawego.

— Skąd możesz wiedzieć o tem?

— Bo sama pisałam ten list.

— To możesz mi powiedzieć, co w nim jest?

— Nie, nie mogę.

Spojrzał na nią, była cała w rumieńcach, w oczach malował się przestrach.

— A ja jednak przeczytam.

Zaczął rozpieczętowywać list. Chciała mu go wyrwać z ręki, ale usunął ją i wyjął zapisaną ćwiartkę z koperty.

— O, mój Boże! — jęczała — więc i to muszę jeszcze znieść! Ingmarze—prosiła— przeczytaj to za parę dni, kiedy już będę w drodze.

Rozłożył papier i rzucił nań okiem. Zakryła go dłonią.

— Słuchaj, Ingmarze, napisałam ten list z namowy pastora, obiecał, że go wyśle do ciebie dopiero wtedy, kiedy już będę na statku, a tymczasem widocznie pospieszył się. Nie masz prawa czytać go jeszcze. Pozwól mi tylko odjechać, zanim zaczniesz czytać.

Ingmar spojrzał gniewnie, wyskoczył z wózka, aby módz spokojnie odczytać pismo. Brita była tak wzburzona, jak kiedyś dawniej, gdy nie mogła postawić na swojem.

— To nieprawda, co tam napisano, pastor namówił mnie do tego, ja nie kocham ciebie, Ingmarze!

Po chwili jednak uspokoiła się; pokora, której nauczyła się w więzieniu, wzięła górę i przemogła ją. Wszak zasłużyła na upokorzenie, które ją spotyka. Ingmar mordował się z listem, nagle zmiął go w garści, a z gardła wydobył mu się dźwięk podobny raczej do rzężenia:

— Ja tego nie rozumiem! — zawołał, tupiąc nogą. — W głowie mi się zawraca.

Podbiegł do Brity i chwycił ją silnie za ramię:

— Czy to prawda, że tam stoi napisane, że ty mnie kochasz?— zawołał charczącym głosem. Wyglądał strasznie.

Brita milczała.

— Czy jest w liście powiedziane, że mnie kochasz?—powtórzył z wściekłością.

— Tak! — wyszeptała Brita.

ministra finansów z d. 8 lutego r. b., który, przypominając, że w r. 1899 dzień roboczy w rządowych rafineryach spirytusu i składach wódki oznaczony został na 10 godzin, nie wliczając uprzątania lokalów, zawiadamia, że robione gdzieniegdzie próby skrócenia tego czasu dały dobre wyniki: „produkcyjność pracy nie zmniejszyła się, lecz wzrosła jeszcze, a jakość jej pozostawała bez zmiany — co się tem tłomaczy, że robotnicy, będąc zatrudnieni krócej, pracują z mniejszem zmęczeniem i większą gorliwością." Wobec tego p. minister upoważnia dyrektorów zarządów akcyzy, którzy uznają to za stosowne, do skrócenia czasu pracy do 9 godzin dziennie, „pod warunkiem, żeby ta ulga nie zmniejszała produkcyjności pracy."

*H.*

## Z nad Warty i Odry.

Liczebność żywiołu polskiego i statystyka pruska. — Wzrost świadomości narodowej. — Nowe warstwy w życiu społecznem. — Rozwój spółek zarobkowych. — *Gazeta Robotnicza* w Katowicach i *Gazeta Ludowa* w Poznaniu.

Dwa równolegle rozwijające się procesy dają się zauważyć w życiu społeczno-politycznem polskich prowincyj Prus. Pierwszy — to mechaniczne wzrastanie siły liczebnej żywiołu polskiego, drugi — to organiczne różnicowanie się społeczne tego żywiołu i, jako rezultat, wysuwanie się na widownię publiczną warstw nowych, które dotychczas nie odgrywały żadnej roli. Obydwa te procesy są rękojmią lepszej przyszłości, należy więc przyjrzeć się im bliżej i uświadomić sobie ich doniosłość. Praca to niezbyt łatwa, gdyż musimy wyciągać niezbędne dla nas wnioski ze źródeł najróżnorodniejszych, aby przez zestawienie rozmaitych danych osiągnąć jakąś pewność. Tak nawet co do samej siły liczebnej ludności polskiej w Prusach musimy się oprzeć na niewiarogodnej w najwyższym stopniu statystyce urzędowej władz pruskich. Że statystyka ta na ufność nie zasługuje, udowodnił, na podstawie nadzwyczaj skrupulatnie przeprowadzonych obrachowań i zestawień, p. S. Komornicki w swem wybornem, szkoda że nie skończonem dziele o kolonizacyi niemieckiej. A jednak tę właśnie niewiarogodną statystykę musimy z konieczności brać za podstawę do obliczenia ludności polskiej. Co prawda, dane, otrzymane przez urzędników pruskich przy spisie ludności, można poprawiać za pomocą statystyki szkolnej, układanej również przez urzędników pruskich, tylko innych. Ta statystyka pozostawia też dużo do życzenia, lecz jest, zdaniem ogólnem, daleko mniej fałszowana. Mamy jeszcze statystykę wyborczą, nienadającą się do fałszowania, ale mniej pewną od dwóch powyższych z innych względów. Na kandydatów polskich oddają niekiedy głosy katolicy niemieccy, jak również na kandydatów niemieckich głosują nieuświadomieni lub zależni od Niemców Polacy. Czasem jednak właśnie ta statystyka wyborcza daje nam najlepszą sposobność sprawdzenia, jaka jest istotna liczba ludności polskiej w danym okręgu wyborczym. Oto punkt konkretny.

W zachodnio-pruskim okręgu świeckim, według danych statystyki szkolnej i według spisu ludności, Polacy stanowią 49% mieszkańców. Otóż w tym okręgu współzawodnictwo polsko-niemieckie przy wyborach jest nadzwyczaj spotęgowane, a ludność polska w wysokim stopniu uświadomiona. Tu więc można przyjąć za pewnik, że wszyscy Niemcy głosują z kandydatem niemieckim, a wszyscy Polacy za polskim. Jeśli zachodzi jaka wątpliwość, to chyba tylko względem Polaków, ponieważ w tym okręgu wielkiej polskiej własności ziemskiej pozostało bardzo mało, dużo zaś Polaków pozostaje w zależności ekonomicznej od niemieckich właścicieli ziemskich. W okręgu świeckim w ciągu ostatnich 2½ lat dwukrotnie został unieważniony mandat posła-Niemca. Rozpisywano więc nowe wybory i agitacya z obu stron była bardzo energiczna. Za każdym razem zwyciężał Niemiec, a liczba głosów polskich mniej więcej odpowiadała liczbie ludności polskiej w powiecie. Tymczasem gdy wybory odbywały się po raz czwarty, gdy roznamiętnienie z obu stron doszło do najwyższego napięcia (w wyborach wzięło udział 93½% wyborców — stosunek wprost wyjątkowy), kandydat polski otrzymał 57% głosów. Oczywistem więc jest, że ludność polska tego powiatu wynosi nie 49, lecz 57%, jeśli, co jest bardzo prawdopodobne, nie więcej.

Podobnie było w powiatach Babimojsko-Miedzyrzeckim, stanowiących jeden okręg wyborczy, z którego zwykle wychodził Niemiec. Są to najbardziej zniemczone kresy Poznańskiego i, według danych urzędowych, Polaków jest tam 34—35%. Tymczasem, kiedy podczas ostatnich wyborów wysunięto tam kandydata Polaka, ten ostatni otrzymał przeszło 40% głosów, choć ludność polska tego okręgu jest bardzo zaniedbana, a agitacyę przedwyborczą prowadzono bardzo ospale.

Możliwa rzecz, że i gdzieindziej istnieje taka sama różnica między danemi statystyki urzędowej a rzeczywistą liczbą Polaków. Niepodobna natomiast, aby gdzieś Polaków było mniej, niż ich wykazuje statystyka pruska, systematycznie popełniająca właśnie fałszerstwa *in minus*. Wobec tego świeżo ogłoszony wynik ostatniego, przedsięwziętego w r. 1900, spisu ludności w Niemczech, należy brać z wielką nieufnością. Według tego spisu, Polaków (naturalnie razem z Mazurami, Kaszubami i ludźmi o polskim i niemieckim języku rodzimym) jest w Niemczech 3,530,000.

Warto tu przypomnieć wszystkie skargi, jakie zamieszczały pisma polskie podczas owego spisu z r. 1900, zwłaszcza z kresów — z Kaszub, z Mazowsza — lub z kolonij w Westfalii. Działy się tam niesłychane nadużycia, skutkiem których tysiące rodzin zapisano jako niemieckie, pomimo ich protestów. A w iluż to miejscowościach nieuświadomiona jeszcze ludność nie protestowała wcale, choć ją zapisywano jako niemiecką! Z zupełną więc pewnością można rzec, że cyfra statystyki pruskiej obejmuje Polaków, *świadomych* swej narodowości. Chcąc mieć w przybliżeniu rzeczywistą cyfrę ludności polskiej w Niemczech, należy zaokrąglić urzędową co najmniej do 4 milionów, gdyż na pewno rzec można, że nieuświadomionej ludności polskiej (na Morawach, na Średnim Śląsku, wśród protestantów górnośląskich itd.) jest co najmniej pół miliona, nie licząc tej, która zo-

---

Potrząsł jej ramionami i odepchnął od siebie.

— Jak ty łżesz, jak ty łżesz! — zawył z dzikim śmiechem, obrzydliwie wykrzywiając twarz.

— Bóg widzi — wymówiła nareszcie, że modliłam się codzień, aby mi dał zobaczyć ciebie przed podróżą.

— Przed jaką podróżą?

— Wszak mam jechać do Ameryki.

— Djabła tam pojedziesz!

Ingmar odszedł zupełnie od zmysłów, zrobił parę chwiejnych kroków, runął na ziemię i zaryczał płaczem. Brita podbiegła i usiadła przy nim. Była tak szczęśliwa, chciałaby zaśmiać się głośno.

— Ingmarze, Ingmarze! — prosiła pieszczotliwie.

— Ty, co znajdujesz, że jestem taki brzydki!

— Prawda, jesteś.

Ingmar usunął jej rękę.

— Pozwól mi teraz opowiedzieć sobie o tem.

— Dobrze, opowiedz!

— Czy pamiętasz, co mówiłeś w sądzie przed trzema laty?

— Pamiętam.

— Że jeżelibym zmieniła swoje uczucia, to ożeniłbyś się ze mną.

— Od tego czasu polubiłam ciebie. Nie sądziłam, żeby się znalazł człowiek, zdolny to powiedzieć. Po tem, co zaszło, twoje odezwanie się do mnie było nadludzkiem. Kiedy spojrzałam na ciebie, wydałeś mi się ładniejszym od innych, mądrzejszym od innych i jedynym, z którym chciałabym żyć. Polubiłam cię bardzo i czułam, że należysz do mnie, a ja do ciebie. Z początku byłam pewna, że przyjdziesz i zabierzesz mnie, potem nie śmiałam spodziewać się tego.

Ingmar podniósł głowę.

— Dlaczego nie pisałaś?

— Pisałam przecie.

— A tak, żeby prosić mnie o przebaczenie — o tem nie warto było pisać.

— O czemże miałam pisać?

— O tem drugiem...

— Czyż mogłam odważyć się na to?

— Bez mała byłbym nie przyjechał.

— Czyż mogłam, Ingmarze, pisać listy miłosne po tem wszystkiem, com ci zrobiła? Ostatniego dnia w więzieniu napisałam, bo pastor powiedział, że powinnam. Zabrał list, obiecując go wysłać po moim wyjeździe, a tymczasem wysłał już teraz.

Ingmar wziął jej rękę, położył na ziemi i uderzył po niej.

— Mógłbym cię zabić!

— Możesz zrobić ze mną, co ci się podoba, Ingmarze.

Spojrzał w jej twarz, której cierpienie dodało nowej krasy, uniósł się trochę i ciężko oparł na Brycie.

— Niewiele brakowało, a byłabyś pojechała; muszę ci powiedzieć, że nie kochałem już ciebie.

— Rozumiem to doskonale.

— Cieszyłem się bardzo, usłyszawszy, że jedziesz do Ameryki.

— Wiem, ojciec pisał mi, że przystałeś na to.

— Patrząc na matkę, myślałem, że nie można dać jej za synowę takiej, jak ty.

— Tak, to nie wypada, Ingmarze.

— Miałem tyle przykrości z twego powodu, nikt nie chciał mnie znać przez ciebie.

— To zrób, jak tylko co mówiłeś — zabij mnie!

— Nikt nie może mieć pojęcia, jak jestem zły na ciebie.

Brita milczała.

— Kiedy pomyślę, jak mi było całymi dniami i tygodniami — zaczął znowu.

— Ależ, Ingmarze.

— Zły jestem na to, że mogłabyś była pojechać.

— Nic cię do mnie nie ciągnęło, Ingmarze?

— Przedtem nic.

— Podczas całej drogi?

— Ani na chwilę, sierdziłem się tylko.

— Kiedyż to powróciło?

— Jak otrzymałem list.

— Widziałam to dobrze, że w tobie skończyło się, i dlatego wstyd mi było, żebyś się dowiedział, że zaczęło się we mnie.

Ingmar zaśmiał się pocichu.

— Z czego się śmiejesz, Ingmarze?

— Myślę o tem, że uciekliśmy z kościoła i że wypędzono nas z domu.

— I z tego się śmiejesz?

— Jakże nie mam się śmiać? Będziemy więc mieszkać na drodze, jak włóczęgi — niechby to zobaczył ojciec!

stała zapisana jako niemiecka, ze względu na swą zależność ekonomiczną od Niemców.

Stwierdzany z przerażeniem przez szowinistów niemieckich szybki wzrost ludności polskiej tłomaczy się nietyle większą płodnością Polaków, lub większą emigracyą Niemców (względnie uważających się za Niemców-Żydów), co właśnie przenikaniem świadomości narodowej do coraz szerszych kół, jakkolwiek i pierwsze dwa czynniki odgrywają ważną rolę. W takich Prusach zachodnich przed spisem z r. 1890, według obliczeń prasy polskiej, było 35% Polaków już po poprawieniu cyfr statystyki urzędowej. Po owym spisie liczono ich już około 40%, a dziś sami Niemcy cyfrę tę podają na 46—49%. Nawet sfałszowana bezwątpienia statystyka szkolna stwierdza, że liczba dzieci polskich wynosi przeszło 43%. W rzeczywistości więc Polacy stanowią dziś co najmniej połowę ludności Prus Zachodnich. Takiego szybkiego wzmocnienia się żywiołu polskiego nie sposób wytłomaczyć samym przyrostem naturalnym. Wchodzi tu w grę przedewszystkiem wzrost świadomości narodowej chłopów i robotników.

Mamy więc do czynienia z faktem, że na połaci przeszło 100,000 kilometrów kwadr. Prus ludność polska objawia tendencyę do stopniowego uzyskiwania przewagi zupełnej nad niemiecką, nawet tam, gdzie do niedawna stanowiła, lub jeszcze dziś stanowi mniejszość, jak w Prusach Zachodnich lub na zachodzie Poznańskiego *). Ponieważ zaś jest to proces żywiołowy, którego ani powstrzymać, ani przyspieszyć żadnymi środkami sztucznymi niepodobna, przeto możemy nań liczyć jako na *stały* warunek, gwarantujący lepszą przyszłość polskim prowincyom Prus.

Co do drugiego procesu, o którym wspomniałem na wstępie, to nie da się on jeszcze tak łatwo ująć w ramki cyfr statystycznych, jakkolwiek objawy jego są już obecnie uderzające. Schematycznie proces ten da się przedstawić, jako bankructwo ekonomiczne i polityczne właścicieli wielkiej posiadłości ziemskiej z jednej strony, a wytwarzanie się mieszczaństwa polskiego i występowanie na widownię czynnej walki politycznej robotników. Poruszaliśmy już nieraz na tem miejscu sprawę podnoszenia się polskiej klasy średniej, nie będziemy więc powtarzali znanych czytelnikom faktów wzmagania się polskiego handlu i przemysłu drobnego. Zwrócimy tylko uwagę na rozwój spółek zarobkowych, stanowiących zarazem polskie kasy oszczędności.

Świeżo właśnie odbył się w Poznaniu trzydziesty sejmik „Związku spółek zarobkowych i gospodarskich na Poznańskie i Prusy Zachodnie.“ Przed 30 laty spółek tych było zaledwie 43, członków zaś ich tylko 7,660. Obecnie liczba pierwszych urosła do 134, drugich — do 57,000. Kapitał, złożony w tych spółkach w roku założenia „Związku,“ wynosił 3,300,000 marek, dziś równa się on 53 milionom m. Jest nadzieja, że w najbliższej przyszłości do „Związku“ przyłączą się i spółki zarobkowe z Górnego Śląska, przedstawiające około 11 mil. m. Sumiennie prowadzona gospodarka tych spółek, jako też poparcie, udzielane im przez całą prasę polską, wyrobiło „Związkowi“ opinię nader poważnej i pewnej instytucyi finansowej. To też w czasie niedawnych krachów w całym szeregu niemieckich instytucyj bankowych Polacy spieszyli przenieść swe oszczędności do kas spółek, należących do „Związku.“ Instytucya ta wychowała już cały zastęp polskich sił fachowych, nieustępujących pod żadnym względem niemieckim.

Mniej znany u nas jest stosunek budzącej się do życia narodowego warstwy robotniczej — tak w Poznańskiem, jak na Górnym Śląsku. W Poznańskiem warstwa ta, bardzo stosunkowo nieliczna i słaba, nie odgrywała dotychczas roli poważniejszej. Zaniedbana też była najzupełniej przez koła, kierujące polityką polską. Ludowcy poznańscy, skupiający się dokoła *Orędownika*, wciągali pod swój sztandar robotników poznańskich, ale bez wielkiego skutku. Wpływ berlińskiej *Gazety Robotniczej* był też dość słaby, jakkolwiek wzrastał ustawicznie tak, że kandydaci jej przy wyborach do parlamentu otrzymywali dość znaczną liczbę głosów: Ale ponieważ na miejscu w Poznaniu nie prowadzono poważniejszej działalności systematycznie, przeto po za szczupłą grupką jednostek ruch, reprezentowany przez *Gazetę Robotniczą*: nie wytworzył ogniska trwałej roboty politycznej. Na prowincyi było mniej więcej to samo. Co się tyczy Górnego Śląska, to tam żywioł robotniczy, jako w kraju o bardzo rozwiniętym przemyśle, odgrywał zawsze pierwszorzędną rolę, ale jedynie jako materyał na fundamenty przewagi niemieckiego centrum katolickiego. Robotnicy polscy na Górnym Śląsku, nieposiadający tej świadomości narodowej, co ich bracia w Poznańskiem, szli tam, gdzie ich prowadziło centrum niemieckie bezpośrednio lub pośrednio (za pomocą *Katolika* i jego sztabu). Dopiero w ciągu ostatnich lat paru i w Poznańskiem i na Górnym Śląsku położenie zmieniło się znacznie. Ciągła, choć dorywcza praca stronników *Gazety Robotniczej* w przemysłowych okręgach górnośląskich z jednej strony, a otwarcie reakcyjna polityka centrum z drugiej dała wynik, przez nikogo nieoczekiwany: podczas wyborów w r. 1898 na kandydatów stronnictwa społeczno - demokratycznego padło przeszło 25,000 głosów.

Od tego czasu właściwie rozpoczyna się systematyczna praca wśród robotników górnośląskich. Coraz częściej przybywają tam wysłańcy z Berlina, a w końcu i *Gazeta Robotnicza* przenosi się do Katowic, prowadząc działalność energiczną w kierunku odmiennym, niż to czyniły dotąd inne pisma polskie na Górnym Śląsku. Rozpoczyna się zacięta walka z centrum i jego polskimi poplecznikami. *Gazeta Robotnicza*, budząc wśród robotników pragnienie szerszych reform, jednocześnie podnosi w nich poczucie godności osobistej i, co za tem idzie, świadomości narodowej. Można się tak czy inaczej zapatrywać na społeczną stronę pracy ludzi, skupiających się dokoła organu katowickiego, ale niepodobna nie uznać wielkich ich zasług kulturalnych. Dość podnieść, że dzięki ich staraniom, do mas ludu górnośląskiego przeniknęły po raz pierwszy prawdziwie wartościowe utwory literatury popularno - naukowej (głównie warszawskie), została założona pierwsza publiczna czytelnia w Katowicach itd.

*) Kanclerz Bülow oświadczył w parlamencie, że ludność polska Poznańskiego wzrosła w ciągu 10 lat ostatnich o 10½%, gdy niemiecka tylko o 3,7% i że w niektórych zachodnich powiatach Księstwa przyrost ludności polskiej wynosił 13—14%, gdy ludność niemiecka zmniejszyła się tam o 10%.

---

— Śmiejesz się teraz, ale to nie może być, Ingmarze, to nie może być, i to z mojej winy!

— A ja myślę, że może, bo teraz nie dbam o nikogo, tylko o ciebie.

Britę dusiły łzy, lecz musiała mu dokładnie opowiadać, jak myślała o nim i tęskniła do niego. Powoli stał się tak cichym, jak dziecko, zasłuchane w śpiew piastunki. Wszystko stało się inaczej, niż układała Brita. Jej się zdawało, że jak tylko spotka się z Ingmarem po wyjściu z więzienia, zaraz zacznie mówić o swoim występku i jak on jej ciężył. Chciała powiedzieć jemu, albo matce, albo komukolwiek, że wie, o ile niżej stoi od nich, że nigdy nie przyjdzie jej do głowy uważać się za równą im, a tymczasem nie powiedziała nic z tego wszystkiego. Ingmar przerwał jej łagodnie:

— Chcesz się wypowiedzieć przede mną, Brito?

— O tak, chcę!

— Myślisz o tem ciągle?

— Dzień i noc!

— To ci nie daje spokoju?

— Ani na chwilę!

— Mówże teraz, podzielmy się ciężarem, we dwoje będzie łżejszy do zniesienia.

Patrzył w jej wystraszone, trochę nieprzytomne oczy. W miarę jak mówiła, wstępował w nie spokój.

— Ulżyło ci teraz?—zapytał, kiedy skończyła.

— Zdaje się, że już przeszło.

— To dlatego, żeśmy się podzielili, teraz może minęła cię chęć wyjazdu?

— O, teraz chcę zostać! — rzekła, składając ręce.

— W takim razie jedźmy do domu!—powiedział Ingmar, wstając.

— Kiedy nie śmiem.

— E, z matką nie będzie tak trudno, niech tylko zrozumie, że wiem, czego chcę.

— Nie, nigdy nie zgodzę się na to, aby z mojej przyczyny opuszczała dom.

— Powiem ci coś — rzekł Ingmar, uśmiechając się tajemniczo — nie bój się, jest ktoś, kto nam dopomoże.

— Kto taki?

— Ojciec! Już on tak zrobi, że wszystko ułoży się dobrze.

W tem na drodze leśnej ukazała się Kajsa, tym razem bez koszów, odświętnie ubrana.

— Dzień dobry, jak się macie! — wołała. — Siedzicie sobie tutaj, a parobcy szukają was na wszystkie strony. Wyszliście tak prędko z kościoła — ciągnęła staruszka, że nie mogłam się z wami tam zobaczyć, ale chciałam przywitać się z Britą i poszłam do Ingmarowszczyzny. Jednocześnie ze mną przybył pastor i był już w świetlicy, zanim zdążyłam przywitać się. Zaledwie podał rękę matce Marcie, zawołał z ożywieniem: „Teraz będziecie mieli pociechę z Ingmara, teraz widać, że jest z zacnego rodu, teraz zaczniemy go nazywać starym Ingmarem.“ Matka Marta, nigdy niemówiąca wiele, poprawiała tylko chusteczkę na głowie. „Jak pan pastor mówi?“, zapytała w końcu. — „Zabrał Britę do domu i wierzajcie mi, matko Marto, że za to będzie poważany przez całe swoje życie. Ja wprost oniemiałem, widząc ich w kościele; to było lepsze kazanie, niżeli moje. Ingmar stanie się dla nas wszystkich opatrznością, tak jak był jego ojciec.“ — „Pan pastor przynosi ważne nowiny.“ — „Czy jeszcze nie przyjechał do domu?“ — „Nie, jeszcze go niema, ale może pojechali naprzód do Bergskog.“

— Tak powiedziała matka? — zawołał Ingmar.

— Słowo w słowo, i porozsyłała ludzi jednego za drugim, żeby was odnaleźć.

Kajsa mówiła dalej, lecz Ingmar już nie słuchał i błądził myślami daleko.

— Wchodzę więc do świetlicy, gdzie siedzi ojciec z wszystkimi Ingmarami. „Witaj, stary Ingmarze Ingmarsonie“ — mówi ojciec i podchodzi do mnie. — „Witaj, ojcze, dzięki ci za pomoc.“ — „Teraz ożeniłeś się dobrze, reszta przyjdzie sama przez się.“ — „Nigdy nie udałoby mi się to, gdybyś mnie nie wspierał.“ — Nie było w tem żadnej sztuki — rzecze ojciec. — My, Ingmarsonowie, kroczymy po ścieżkach Pańskich.“

Tłom. ze szwedz. *F. Szukiewicz.*

Tymczasem podobna praca w Poznaniu dostała się do rąk otwarcie germanizatorskich. Na czele całej roboty stanął niejaki Gogowsky, Niemiec, przesiąknięty pogardą dla polskości i inspirowany przez osławioną Różę Luxemburg. Gogowsky począł zakładać w Poznaniu polsko - niemieckie związki zawodowe, których wpływ był dla robotników polskich dobroczynny pod względem ekonomicznym, ale ze względów cywilizacyjnych wprost fatalny. Na zebrania tych związków przybywali agitatorowie z Berlina, Hamburga itd., wyłącznie Niemcy, członkom związków narzucano pisma niemieckie, a na zgromadzeniach publicznych p. Gogowsky ośmielił się twierdzić, że „Polacy są skazani na wymarcie.“ Ta część robotników poznańskich, o których dotychczas nikt nie dbał, szli do germanizatorskich związków zawodowych, pociągani nadzieją zysków ekonomicznych, pomocy i poparcia przy zatargach z majstrami. Robotnicy o rozbudzonem już poczuciu godności osobistej i narodowej próbowali paraliżować wpływy otwarcie germanizatorskie i zdołali wymódz na hamburskim Zarządzie związków zawodowych przynajmniej to, by założył osobne pismo polskie *Oświata*, bezpłatnie doręczane wszystkim związkom. Można się było spodziewać, że z czasem kierunek *Gazety Robotniczej* weźmie i w Poznaniu górę w miarę postępów oświaty i godności wśród robotników, tak jak się to stało na prowincyi — w Inowrocławiu, Gnieźnie, Trzemesznie itd.

Obawiając się tego, p. Róża Luxemburg parła swego pupila Gogowsky'ego do walki zaciętej z Polakami. I oto p. Gogowsky wystawił swą kandydaturę na posła przy zbliżających się wyborach do parlamentu z miasta Poznania. Była to naturalnie prowokacya. Zachęcony powodzeniem socyal-hakatystów w Poznaniu bytomski pupil Róży Luxemburg, niejaki dr. Winter, spotęgował swą prowokacyjną, choć całkiem bezsilną działalność na Górnym Śląsku. Skorzystawszy z tego, że cała redakcya katowickiej *Gazety Robotniczej* znalazła się w więzieniu, p. Luxemburg założyła w Poznaniu pisemko konkurencyjne p. t. *Gazeta Ludowa*, o charakterze pism, wydawanych przez Niemców-centrowców, dla bałamucenia publiczności polskiej. Wkrótce potem polscy robotnicy z ośmiu okręgów górnośląskich wybrali swoich kandydatów na posłów, p. Winter pospieszył zamianować kontrkandydatów, prawie wyłącznie Niemców ze swoją osobą na czele. Rozpoczęła się więc walka między kierownikami robotników polskich a socyal-hakatystami.

Berliński zarząd partyjny i zjazd monachijski wziął w obronę socyal-hakatystów i, jakkolwiek nie pochwalił działalności spółki Luxembur - Winter - Gogowsky, to jednak zachował się wyzywająco względem robotników polskich. Ostatecznie jednak przyjdzie zapewne do jakiegoś kompromisu, gdyż walka, zwłaszcza teraz, w przededniu wyborów, dla żadnej ze stron nie jest pożądana. W tej myśli też zjazd monachijski odrzucił wniosek Gogowsky'ego, aby poznańska *Gazeta Ludowa* została przyjęta na koszt partyi. Wydawnictwo to, nie znalazłszy poparcia u robotników polskich, zostało zawieszone. Ma być również zawieszony niemiecki organ socyal-hakatyzmu poznańskiego, *Volkszeitung*.

Umyślnie przedstawiłem w sposób dosyć szczegółowy źródło zatargu, którym obecnie zajmuje się żywo nietylko polska, ale i niemiecka prasa. Świadczy to, że teraz opinia publiczna polskich prowincyj Prus zwróciła baczną uwagę na zjawiska dotychczas lekceważone, że więc przypisuje im poważne znaczenie.

Dla walki z działalnością Gogowsky'ego narodowi demokraci poznańscy założyli „Polski związek zawodowy,“ ale wzięli się do tego w sposób świadczący o ich bezdennej naiwności. „Związek“ ten z pewnością wrogów Gogowsky'emu nie przysporzy, raczej zniechęci robotników do firmy „polski“ na przyszłość. Zabrali się do tej pracy i księża, którzy poczęli wydawać osobne pismo, mające zwalczać wrogą organizacyę zawodową zapomocą kazań o wstrzemięźliwości i oszczędności. Jednem słowem sprawa robotnicza i sprawa stosunku robotników do reszty społeczeństwa weszła w Poznańskiem i na Górnym Śląsku na porządek dzienny. Jest to najlepsze świadectwo, że w społeczeństwie polskich prowincyj Prus proces wewnętrznego przeobrażenia się postąpił już dość daleko.

*Pośrednik.*

## Dwa nowe zwroty społeczne.

### II.

Era reform społecznych we Włoszech.

Od lat dziesięciu z górą dochodziły nas z Włoch same hiobowe wieści. Przedewszystkiem opowiedziano nam obszernie w depeszach i sprawozdaniach korespondentów o „Tańcu szkieletów“ sycylijskich. Oglądaliśmy dziesięcio i kilkunastoletnich chłopców, pokrytych bliznami od chłost, ciągnących resztkami żywota, odzianych w łachmany, wygłodzonych i wychudłych jak kościotrupy. Byli to pracownicy sycylijskich kopalń siarki. Uczeń Bismarcka, zacnej pamięci Crispi, machnął bagnetem i, niby na skinienie laski czarodziejskiej, wszystko zawirowało w naszych oczach i znikło. W panoramie włoskiej, zamiast cytryn i cyprysów, ujrzeliśmy teraz mafie, związki dzierżawców i parobków, wyciskanych i wyzyskiwanych przez posorzytniczych obszarników włoskich. Byliśmy świadkami scen, wzniosłych miłością bliźniego lecz wstrząsających zgrozą nędzy, wobec której Irlandya i Śląsk są — *sit venia verbo* — rajem! Crispi machał zapalczywie bagnetem, mafie znikały, lecz wypływały znów na wierzch, a Wezuwiusz niezadowolenia zalewał niszczącą lawą kraj Laury i Petrarki, kraj wiecznej wiosny i klasycznego piękna. Doszło do tego, iż pewnego dnia na całym obsarze rolnym Włoch stanęła robota. Bezrobocie z rolnictwa przeniosło się do przemysłu i handlu. Nawet dziesięcioletnie dziewczyny sklepowe przeciągały przez ulice i zbierały się w Izbie pracy, aby opowiedzieć publiczności, jak to muszą roznosić listy miłosne krawcowych, zamiast uczyć się, wloką pudła, w których mogą się zmieścić dwie koleżanki, jak przymierają zgłodu i zostają zawczasu pchnięte na bezdroża rozpusty. A jednocześnie prasa radykalna demaskowała i wykrywała „camorry,“ bandy złodziejskie, złożone z hrabiów, książąt, adwokatów, publicystów i radców miejskich, którzy połączyli się dla wspólnego ograbiania municypalności. Zgniła biurokracya, zepsuta do szpiku patrzyła na wszystko przez palce i apelowała do bagnetu, jako do wyższej instancyi sprawiedliwości społecznej. Militaryzm wzmagał się, rosły podatki i ceny artykułów spożywczych, brak zajęcia stał się chronicznym, a głód zjawiskiem normalnem. W miarę tego zaś, jak lawa Wezuwiusza społecznego rozlewała się, dawały się słyszeć łoskoty podziemne. W takiem oto położeniu zastało Włochy ministeryum Zanardelliego.

Rozdroże prowadziło w dwie strony: po jednej droga, utorowana przez Bismarcka i Crispiego, droga ustaw wyjątkowych i gwałtów, po drugiej mniej znana, pełna wybojów i przepaści, ale zgodna z zasadami humanitarnemi, jedyna na początek racyonalna. Trzeba dodać, iż wybór był bardzo ciężki. Prawicy jakoś trudno się była odzwyczaić od zaszczepianej jej przez długie laty zasada: „*Quod medicina non sanat, ferrum sanat*“ („Czego nie leczy medycyna to uzdrawia żelazo“), lewica natomiast, ścigana dotąd i odsądzana od praw obywatelskich, przyjęłaby z niedowierzaniem i szyderstwem nową taktykę rządową, nagłe pieszczoty, zamiast dotychczasowych kułaków. A jednak Zanardelli, czując pod sobą chwiejący się grunt polityczny, wśród trzęsień ziemi, wśród pożóg i buntów, rozwinął odważnie przed zdumionymi Włochami swój sztandar społeczno-polityczny. Po pierwsze przyrzekł on zmianę gruntowną systematu podatkowego, dalej uregulowanie prawne umów roboczych, zarówno w przemyśle, jak w rolnictwie, wprowadzenie odpoczynku niedzielnego i wreszcie rozciągnięcie opieki nad pracującemi dziećmi i kobietami. W maju 1901 r. wygłosił on przed parlamentem włoskim swą pierwszą wielką mowę programową. Powyższe reformy mają być tylko zapoczątkowaniem wyzwolenia klas pracujących. Naczelne zadanie rządu włoskiego będzie polegało na rozbudzeniu w ludzie przekonania, iż nie nadużyje państwo nigdy władzy swej względem słabszego, ale przeciwnie posługiwać się nią będzie w jego obronie. Oprócz wyżej zaznaczonych reform, Zanardelli naszkicował plan centralnego biura pracy sądów rozjemczych dla przemysłu i rolnictwa, oraz prowincyonalnych reprezentacyj roboczych. W czerwcu 1901 roku interpelowany w sprawie tysięcy bezroboci wybuchłych w rolnictwie i przemyśle, a co więcej wprost prowokowany, nie zboczył ani na jotę z pierwotnie zajętego stanowiska. Zacytował szereg powag ekonomicznych, upatrujących w strejku środek podniesienia ceny towaru, zwanego siłą roboczą. Ponieważ strejki są cechą charakterystyczną naszych czasów, nic więc dziwnego, iż nie ominęły Włoch. Spokój publiczny nie został dotychczas zakłócony; nie ma zatem rząd powodu do zmiany swego postępowania, zwłaszcza, iż, zdaniem Zanardellego, liberalny system polityczny stanowi trwalszą od ucisku ostoję porządku. Wtedy to obóz społeczny, trwający dotąd w złowrogiej, nieprzejednanej opozycyi, postanowił, jeśli nie zasadniczo, to przynajmniej na początek wesprzeć rząd, w jego pracy społecznej. Ten sam zwrot naprawo, a raczej zwrot przyjazny rządowym reformom społecznym, który zwolna i nieznacznie zaszedł w Niemczech, ta sama taktyka, którą w sposób dość oportunistyczny zapoczątkował obóz Jaurès'a we Francyi, znalazły grunt i oddźwięk we Włoszech. Prof. Ferri, który aż do ostatnich czasów przewodniczył tam obozowi społecznemu, obdarzył na razie ministeryum zaufaniem, mimo iż cała robota współczesna sprowadzała się w jego oczach wyłącznie do rozbudzenia świadomości, z której mają wyłonić się przyszłe formy społeczne. Już wtedy wszczęła się we Włoszech ta sama mniej więcej polemika na tematy taktyki i teoryi, jaka toczyła się w Niemczech pomiędzy obozem Bernsteinowskim a jego przeciwnikami, we Francyi zaś pomiędzy zwolennikami Milleranda a stronnictwem nieprzejednanem. We Włoszech chodziło o to, czy można bez sprzeniewierzenia się tradycyi i programowi obozu popierać ministeryum, stojące na gruncie mieszczańskim lubo przychylne z tych lub innych względów warstwom pracującym. Obóz społeczny, nie wiążąc się na przyszłość, zniewolony wprost do tego biegiem wypadków głosował na próbę za ministeryum, aby je utrzymać przy życiu.

Zanardelli i Giolitti, korzystając z wyjątkowo pomyślnych dla siebie okoliczności, z życzliwego usposobienia stronnictwa, ściganego i torturowanego od lat wielu, a więc już psychologicznie niesklonego do

kompromisów, pracowali bardzo sumiennie nad wykonaniem swego programu społecznego. Naprzód przeprowadzili przez obie instancye parlamentarne ustawę o państwowem biurze pracy; dalej zorganizowali emigracyę ludu włoskiego do innych krajów za pomocą urzędu i inspektorów emigracyjnych. Wreszcie po długich i ciężkich walkach obdarzyli Włochy, jak na stosunki tamtejsze, gruntownem i poniekąd oryginalnem prawem, biorącem w opiekę pracujące dziecko i kobietę. Szczególnie silny opór stawiał senat, którego większość składa się z wielkich posiadaczy pól ryżowych, uprawianych przeważnie przez kobiety. Sprzeciwiali się również przemysłowcy wszelkich kategoryj, gdyż np. w kopalniach siarki 24% pracujących składa się z samych dzieci, a gałąź jedwabnicza zatrudnia 10 tys. chłopców młodszych niż lat 12. Z tymi po barbarzyńsku wyzyskiwanymi żywiołami dorosły robotnik nie mógł iść w zawody. Praca kobiet i dzieci stanowiła najokropniejszą plagę Włoch, i była piętnem kainowem na ich czole. Od r. 1886 około dziesięciu razy wnoszono w parlamencie odpowiednie ustawy ochronne, opracowane przez polityków, działaczy społecznych i humanistów. Ale parlamentarni przedstawiciele klas posiadających udawali, iż nie słyszą lamentu mordowanych dzieci i torturowanych kobiet.

Ustawa Zanardellego, przerobiona z projektu lewicy krańcowej przez ministra handlu Bacelliego (słynnego patologa włoskiego), bierze się energicznie do rzeczy. Nocna i podziemna praca kobiet niepełnoletnich ma uledz zupełnie zakazowi. Położnice otrzymują urlop na jeden miesiąc. Każda fabryka, zatrudniająca więcej niż 50 kobiet, musi wyznaczyć osobny pokój do karmienia i pielęgnowania niemowląt; w fabrykach mniejszych kobiety będą miały prawo opuszczać częściej robotę dla doglądania pozostawionych w domu dzieci. Wielkie ulgi zaprowadzono również dla nieszczęśliwych dzieci. Przepisy ochronne rozciągnięto nadto na szwaczki, modniarki, sklepowe i pracownice pól ryżowych, pomimo zacietrzewienia i oburzenia grup przemysłowych. Przełamano zaś ten opór jedynie dzięki taktyce obozu społecznego, który wolał na razie cofnąć swe radykalniejsze żądania, byle uzyskać coś dla milionów ofiar Molocha.

Ustawa grzeszy wprawdzie licznemi usterkami, że wspomnę chociażby o braku ścisłych określeń dla takich terminów, jak „fabryka" lub „robota podziemna," a tymczasem historya świadczy, iż pracodawcy wszystkich krajów korzystali ze wszelkich niedomówień dla omijania przepisów rządowych. Jednocześnie ministeryum nakazało sporządzić ankietę o czasie roboczym i zarobku. Pod obrady wzięto również sprawę tanich mieszkań dla warstw pracujących. Przygotowuje się projekt o sądach rozjemczych dla sporu pomiędzy pracobiorcami a pracodawcami w rolnictwie. Wreszcie ze względu na doskonałe wyniki gospodarki miejskiej Reggio Emilia, zarządzanego w duchu społecznym przez tamtejszą municypalność krańcowo-społeczną, minister Baccelli opracowuje odpowiednią ustawę urządzeń miejskich. Ale wszystkie te nawskroś nowe reformy wisiały w powietrzu dopóki rząd był zmuszony siedzieć na dwu stołkach, z których jeden — społeczny — wciąż chwiał się. Lada chwila wszystko mogło runąć, gdyby stronnictwo krańcowej lewicy nie oświadczyło się stanowczo za ustawami rządowemi. A w stronnictwie tem wrzała wciąż polemika pomiędzy nieprzejednanym odłamem prof. Ferriego, obawiającego się „darów Danausowych," a grupą Turatiego, którą dostatecznie cechuje przydomek „ewolucyjnej," jaki sobie sama nadała. Wychodząc z zasady, iż trzeba 40 lat krążyć po Saharze przed wejściem do Ziemi Obiecanej, nie odrzucała ona reform społecznych nawet o pobudkach podejrzanych, o ile tylko reformy te leżą na linii, wytkniętej do celu ostatecznego. Podczas gdy Północ stanęła po stronie prof. Ferriego, prowincye południowe popierały Turatiego. Po roku zapalczywych polemik i bardzo ostrych walk zwyciężył nareszcie obóz Turatiego na kongresie, odbytym przed miesiącem w Imoli. Zadecydowano, iż obadwa kierunki, czyli, jak je przezwali Włosi „tendencye," uzupełniają się wzajemnie: wszak żaden nie cofa wzroku przed perspektywami odległemi, a tylko jeden ciąży więcej ku działalności politecznej, drugi zaś przechyla się bardziej do pracy społecznej. W ten sposób gabinet Zanardelliego święci tryufm, o którym sam nie marzył, a biedne Włochy, od lat wielu wstrząsane wojną domową, mogą nareszcie odetchnąć na chwilę, aby wzmocnić się materyalnie, moralnie i społecznie.

*H. Forszteter.*

---

## FEJLETON.

# DWA OLBRZYMY.

Doch boese Zungen zischelten Zwiespalt
Und es trennte sich feindlich
Das hohe, leuchtende Paar.
Heine, Nordseebilder.

Jeżeli wielki człowiek wygłosi ogromne słowo, to człowiek mały, aby je do swoich ust zmieścić, musi je obciąć, zmniejszyć. A następnie podaje je z pokolenia do pokolenia potomnym, że istotnie trudno jest potem badaczowi odkryć, jak to słowo pierwotnie brzmiało i jakie miało rozmiary.

Powyższy błąd tradycyi ustnej odpowiada w tradycyi pisanej fałszywej cytacie, polegającej na karygodnem skróceniu, które opacznie myśl tłomaczy lub nadaje jej wręcz przeciwne znaczenie.

Gdy w czasach dzisiejszych z powodu nowych haseł w sztuce, ścierających się z hasłami panującemi, strony walczące dla poparcia swych mniemań zaklinają z mogił na świadków dostojne cienie dwóch olbrzymów naszej poezye, i gdy często w plotkarski sposób wznawia się to, co między nimi zajść miało, koniecznem się staje, — aby w granicach możności tamę temu położyć, — raz jeszcze zbadać źródła, z których ten spór miał rzeką popłynąć.

Otóż nadspodziewanie okazuje się nietylko wysoce prawdopodobnem, ale niemal pewnem, że sprawa miała całkiem inną barwę, niż jej potem nadano.

Mamy tu na myśli głośne i przez wszystkich krytyków do dnia dzisiejszego powtarzane odezwanie się Mickiewicza o Słowackim, że jego poezya jest piękną pod względem architektury świątynią, ale w niej niema Boga.

Zdanie to szczególnym zbiegiem okoliczności zyskało pozorne potwierdzenie na wieczerzy u Eustachego Januszkiewicza w Paryżu dnia 25 grudnia 1840 r., gdy Mickiewicz, wyzwany przez Słowackiego na improwizacyę, zakończył ją słowami.

Wiedzcie, że dla *poety* jednak tylko droga.
W *sercu* szukać natchnienia i dążyć do *Boga!*

Z improwizacyi tej zanotowano tylko kilkanaście wierszy, niewyjaśniających poglądu Mickiewicza na Słowackiego, a końcowe strofy „Beniowskiego," będące częścią powtórzeniem improwizacyi Słowackiego, a częścią odpowiedzią na improwizacyę Mickiewicza, dowodzą, iż tu chodziło raczej o stosunek obu poetów do „potrójnej korony papieża" i do „Trzeciej Epoki Chrześciaństwa," niż o wymianę krytycznych zdań o wzajemnej twóczości.

Oskarżenie „wspaniała świątynia — ale bez Boga" byłoby istotnie bardzo ciężkie. Możnaby mniemać, iż Mickiewicz uznawał w Słowackim tylko stylistę, widział w nim poganina, estetę, artystę bez ideałów.

Takie zresztą sądy były dość powszechne o Słowackim, a powoływano się na świadka nielada, bo na Mickiewicza, któr zdanie uchodziło za *ultima ratio.*

Sięgnijmy tedy do czasów, zdarzeń i okoliczności, w których Mickiewicz miał o Słowackim ów nielitosny sąd wygłosić.

Dajmy tu głos stronie rzekomo obrażonej, a więc najbardziej stronnej, samemu Słowackiemu.

Pod datą 7 sierpnia 1832 r. pisze do matki, że tego właśnie dnia zbliżono go z Mickiewiczem „Kiedy towarzystwo chodziło po ogrodzie, Mickiewicz przystąpił do mnie i zaczęliśmy sobie mówić nawzajem komplementa. Mówił mi, że mnie znał dzieckiem." Potem uśmieli się nad niektóremi wspomnieniami. Mickiewicz mówił, iż Franciszek Malewski przysyłał mu za granicę jego wiersze. „Kiedyśmy zabrnęli w komplementy, kiedy mu mówiłem, że go uważam za pierwszego poetę, jeden z Polaków, stojący za mną i podchmielony zapewne, powtarzał jak echo: nadto jesteś skromny— i temi słowami zupełnie pomieszał naszą rozmowe." Potem pisze Słowacki: „Wypiliśmy wiele szampana." I dodaje jeszcze: „Wieczór ten był naśladowaniem świetnych wieczorów, które tu dają artyści francuscy — gadaliśmy różne poezye, słowem, że dobrze nam zszedł wieczór."

Widzimy więc, że nic takiego dotąd nie zaszło, co mogłoby wzbudzić wzajemną niechęć, że Słowacki zadowolony był ze spotkania, z wieczoru, z towarzystwa, z wyjątkiem chyba owego „zapewne podchmielonego" interlokutora.

Nim przejdziemy do listu, pisanego w kilka dni później, bo dnia 12 sierpnia, podającego nam szczegóły o postępie wzajemnych „komplementów," musimy, właśnie ze względu na ten list, przypomnieć czytelnikom sonet Mickiewicza „Rezygnacya." W sonecie tym poeta mówi o sobie: „Nieszczęśliwy, kto próżno o wzajemność woła," bo

...serce ma podobne do dawnej *świątyni,*
Spustoszałej niepogod i czasów koleją,
Gdzie *bóstwo* nie chce mieszkać, a *ludzie* nie śmieją.

Obraz ten z niezmierną plastyką oddaje nam poetycką mową to, co w szczerych a prostych wynurzeniach listownych Mickiewicz wypowiadał o sobie i o stanie swojej duszy, on, niemogący się przez długie lata otrząsnąć z bezwzajemnej, tragicznej miłości. On to był ową *świątynią, w której Bóg nie chciał mieszkać.* Wspaniała skarga poety! Sonet ów, czego dowodzi cała zachowana do naszych czasów korespondencya Mickiewicza, dowodzi, iż to określenie *siebie* nie było wynikiem przelotnego nastroju, ale krystalizacyą bolesnej historyi. Sonet ten był powszechnie znany, znany przez Słowackiego i *pamiętany.*

Teraz przytoczymy dosłownie tekst listu Słowackiego z d. 18 sierpnia, a więc w kilka dni po zawarciu znajomości z Mickiewiczem:

„Jeden z Polaków mówił mi zdanie, jakie dał Mickiewicz o moich dwóch tomikach: powiedział, że moja poezya jest śliczna, że jest to gmach piękną architekturą stawiany, jak wzniosły kościół, ale w kościele Boga niema. Prawda, że śliczne i poetyczne zdanie? Podobne do jego sonetu p. t. *Rezygnacya.*" (*Listy*, t. I, str. 132 wyd. L. Meyeta).

Oto świadectwo strony pokrzywdzonej. Słowacki, jak ów legendowy Piotrowin, przysyła nam wyjaśnienie z za grobu.

I teraz rzecz staje się jasną. Stan duszy Słowackiego był bardzo podobny do stanu duszy Mickiewicza z „Rezygnacyi.“ Ten szalał bezwzajemnie za Marylą, tamten za ukochaną „Ludką,“ w obu wypadkach miłość tragiczna, bezwzajemna, raniąca serca na całe życie. Obaj, targani burzami uczucia, „nie śmieli z przekwitłem sercem iść do stóp anioła,“ obaj „żegnali się z nadzieją.“ Mickiewicz, starszy, bardziej już *zrezygnowany*, wieszczem okiem odgadując, co się w wieszczem sercu działo, *wznowił* to porównanie o świątyni opuszczonej. Słowacki, który „boga litewskiego z ciemnego sosen uroczyska powstałego“ w lot pojmował, zrozumiał genialną myśl, ale...

Boese Zungen zischelten Zwiespalt,

słuchając i czytając tak uważnie, jak ów „zapewne podchmielony“ interlokutor, z głębokiej, wzruszającej, chwytającej za serce charakterystyki robiąc coś potwornego, małego, szkolarsko - pedantycznego, a dającego pochop do najdalej idących wniosków.

Szczęśliwi będziemy, jeżeli w dzisiejszych sporach estetycznych wyjaśnienie powyższe przyczyni się choć w części do ostrożniejszego i należytą czcią zawarunkowanego powoływania się na wzajemne opinie dwóch olbrzymów poezyi naszej, którzy jako ludzie mogli się mylić, ale właśnie, jako genialni ludzie, nie byli w tych opiniach — mali.

*Andrzej Niemojewski.*

# PAMIĘTNIK.

## Radykalny środek.

Wspominaliśmy już o dziwnem karaniu ogółu za przestępstwa jednostek, wyzyskujących ulgi kolejowe. Pisma zapowiadają nowy tego rodzaju środek leczniczy. Jak wiadomo, na każdy osobowy bilet jazdy drogi żelazne pozwalają przewozić bezpłatnie pud rzeczy. Otóż ponieważ znaleźli się spekulanci, którzy za pomocą biletów wypożyczonych od pasażerów ekspedyują darmo wielkie ładunki, przeto postanowiono... cofnąć ów przywilej biletu do puda bagażu. Poco tak wolno krajać ów bochenek chleba, który kultura dała społeczeństwu pod postacią kolei? Czy nie lepiej zniszczyć go całkiem odrazu? Zamiast odbierać ogółowi bilety powrotne, podmiejskie, spacerowe, bezpłatny przewóz puda rzeczy, daleko właściwiej byłoby znieść zupełnie drogi żelazne. Wtedy powstrzyma się rozwój cywilizacyjny kraju, ale wzamian za tę stratę osiągnie się pewność, że żaden szachraj nie popełni nadużycia z biletami.

Dzienniki nasze jak gdyby przygotowywały publiczność do tej możliwości. Pomimo bowiem, że od 1 października wprowadzono częściowe zmiany w rozkładzie pociągów, pisma ciągle podają rozkład stary. Dzięki temu Europejczyk warszawski znajduje się w tem miłem położeniu, że gdy potrzebuje wyjechać, nie wie tylko: kiedy odchodzi pociąg, ile kosztuje bilet i ile może wziąć z sobą rzeczy bezpłatnie. A gdyby chciał o tem dowiedzieć się przed sprawdzeniem na dworcu, nie znajdzie w całej Warszawie ani jednego źródła, z którego mógłby poczerpnąć ścisłą informacyę. Bo nawet „przewodniki“ kolejowe wychodzą przy końcu okresu każdej zmiany. Czyż więc grunt nie jest już dostatecznie przygotowany do zniesienia dróg żelaznych?

## Niepotrzebne szydło.

Dr. Kramsztyk wystąpił w Towarzystwie hygienicznem przeciwko utrzymywaniu przy szpitalach osobnych pokojów dla chorych, zaznaczając, że te instytucye istnieją dla ludzi ubogich, którzy często nie znajdują w nich miejsca, uszczuplonego im przez zamożnych. Jakkolwiek trudno winić samotnika, pozbawionego wszelkiej opieki domowej, którego nie stać na zapłacenie pięciu rubli dziennie za pobyt w prywatnym domu zdrowia, że korzysta z pokoiku szpitalnego za rubla i jakkolwiek należałoby raczej dążyć do zniesienia sal wspólnych, niż do utrwalania ich, radykalny demokratyzm dr. Kramsztyka byłby sympatycznym, gdyby z niego nie wylazło szydło interesu zawodowego. Szanowny reformator bowiem do szkód ludzi ubogich przyszywa zręcznie szkody lekarzów, którym owe izdebki szpitalne mają zabierać pacyentów. O nieba, z kogóż ta pretensya chce ściągnąć haracz! Czy z biednego literata, którego koledzy utrzymują w osobnym pokoiku? Czy z równie biednego urzędnika, który pobiera 300 rb. emerytury? Czy z nauczycielki, której kuracyę pokrywają wdzięczne uczenice? Bogaci tam się nie chronią, a hr. Walewski zdarza się raz na kilkadziesiąt lat. I gdyby przynajmniej o te zarobki upominał się proletaryat lekarski, który nie ma z czego żyć i w razie choroby ucieka się do... pokoików szpitalnych... Ale doktorzy z rozległą praktyką— oni pozywają publiczność o niezapłacenie podatku nieszczęśliwych, którzy pozwalają sobie na zbytek cierpienia i umierania w czterech osobnych ścianach! Czy to także etyka lekarska?

## Upadłość „Leonowa.“

Rozumiemy, że jakiś biedak, któremu się nie powiodło, lub jakiś oszust, który ukrył swe fundusze, może ogłosić się bankrutem; natomiast nie możemy pojąć bankructwa cukrowni, której zarząd składał się z ludzi bogatych i która popełniła szereg krzyczących nadużyć. Trudno oczom własnym uwierzyć, czytając nazwiska arystokratów i finansistów, umieszczone na szyldzie przedsiębiorstwa, które nietylko okazało się niewypłacalnem na 1¼ miliona rubli, ale roztrwoniło 175,380 rubli oszczędności robotniczych, powierzonych kasie fabrycznej, oraz 12,620 rb. kapitałów dobroczynnych. To coś nowego i arcyzuchwałego! Prawda, że okradzenie biedaków mogło nastąpić bez zamiaru i wiedzy zarządu, ale w takim razie winnego oficyalistę oddaje się sądowi, a pokrzywdzonych przez niego robotników zaspakaja się z własnej kieszeni. Chociażby nawet formalizm prawny znosił tu wszelką odpowiedzialność, etyka publiczna będzie nią zawsze obciążała sumienie patronów spekulacyi, która w otchłań swego niepowodzenia wciągnęła niewinnych a ufnych jej pracowników. Na budowie rozmaitych towarzystw akcyjnych osadzona bywa kopuła zarządu, zwykle złożona z ludzi bogatych, stale powoływanych do tego celu, którzy korzystają z łask fortuny, ale usuwają się od jej niełaski. Dla wysokich dywidend otwierają swoje kieszenie, ale gdy robotnicy stracą ciężko zapracowane grosze w matactwach fabryki, jej Olimp umywa ręce. On jest tylko zbieraczem zysków, ale nie sprawcą szkód. Zaiste, wielki czas, ażeby ustała ta nieuczciwa gra z zapewnioną wygraną, to obdzieranie pracy i nędzy na korzyść próżniactwa i zbytku, te tytuły i urzędy rozciągające swój obowiązek tylko do pobierania wysokich zapłat, te oburzające widowiska zgliszcz spekulacyjnych, które zasypują niewinnych, a nawet nie drażnią winowajców.

## Nowa ustawa pasportowa.

Przestarzała a w wysokim stopniu uciążliwa ustawa pasportowa została wreszcie zmieniona. Zamiast dotychczasowych różnorodnych certyfikatów mają być wydawane książeczki *bezterminowe* i ważne w *całem* państwie rosyjskiem. Ogół otrzymywać je będzie z urzędów policyjnych (kancelaryj gminnych, cyrkułowych itp.), szlachta zaś może wyjednywać sobie specyalne od gubernatorów. Nowa ustawa, która jednak nie dotyczy pasportów zagranicznych, wprowadza tedy następujące ulgi: 1) daje dokument jednorazowy, uwalniając od ciągłych starań i kosztów; 2) znosi osobne pasporty do Cesarstwa. Zaznaczono w niej również, iż wędrówki cyganów będą zakazane. Byłoby to niemałe dobrodziejstwo zwłaszcza dla ludności wiejskiej, dręczonej i okradanej przez tych koczowników, których bezkarne najazdy kończą się zawsze rabunkiem.

## Syonizm w Galicyi.

Jak dalece usprawiedliwionem było nasze zapatrywanie na ruch syonistyczny, świadczy następujący ustęp z korespondencyi ze Lwowa, ogłoszonej w nr. 273 *Gazety Polskiej*: „Syoniści galicyjscy mobilizują się nie na żarty. Na dzień 19 b. m. zwołano we Lwowie wiec młodzieży żydowskiej uniwersytetu i lwowskiej politechniki. Na porządku dziennym sprawa narodowości żydowskiej w uniwersytecie i politechnice oraz zadanie młodzieży żydowskiej wobec społeczeństwa żydowskiego.

W tej mobilizacyi nowością jest separatyzm Żydów, którzy dotychczas stali zawsze w obozie polskim, dziś poczynają się już łączyć z frakcyami rusińskiemi, a jak się okazuje, dążą do wytworzenia trzeciej narodowości, która domaga się równouprawnienia narodowego i politycznego.“ Tyle dotąd, a dalej....

## Wystawy.

W swych sprawozdaniach z wystawy kucharsko - spożywczej pisma codzienne podniosły głównie stronę kulinarną całego przedsięwzięcia, a gdy jeszcze niektóre firmy nadsyłać zaczęły do rozlosowania między publicznością po kilka lub kilkanaście półmisków z wykwintnie przyrządzonemi potrawami, opisom wszelkiego rodzaju majonezów, pasztetów, tortów, *chau-froid*, jarząbków, półgęsków i tym podobnych balsamów podniebieniowych nie było po prostu końca. Ta strona wystawy, uwzględniająca wyłącznie upodobania i „potrzeby“ ludzi bogatych, którzy podobne pokazy miewają i tak codzień w swych jadalniach i restauracyach, ma jedynie znaczenie kosztownej dosyć reklamy dla różnych firm cukierniczych i kucharskich. Może ona przez przyciąganie „szerszej publiczności“ nadzieją wygrania jednego z owych półmisków lub choćby tylko nasycenia wzroku widokiem ulubionych przysmaków, przyczynić się do zapełnienia kas Towarzystwa przytułków noclegowych, ale ze stanowiska poważniejszego zasługuje raczej na potępienie, i to tem bezwzględniejsze, że urządzający wystawę nie skorzystali wcale z nadarzającej się sposobności, aby wykazać, w jaki sposób mogłyby się odżywiać najtaniej, najposilniej i najzdrowiej warstwy średnio-zamożne lub niezamożne, odddane ciężkiej pracy zarobkowej. Podobnemi pytaniami nikt, jak się zdaje, nie zaprzątał sobie głowy zbytecznie.

Ale wystawa kucharsko-spożywcza po za kulinarną ma jeszcze i inne strony, dla których obejrzeć ją warto. Świadczy ona przedewszystkiem o postępie w dziedzinie wytwarzania w kraju różnych narzędzi i przyrządów, niezbędnych do wyrobu artykułów spożywczych, jak maszyny piekarskie, urządzenia cukiernicze i browarowe, a dalej całkowite kuchnie, piece, przyrządy do gotowania i przechowywania potraw, pralnie, nakrycia i ozdoby stołowe, tanie i praktyczne meble drewniane i wie-

le innych. Niektóre okazy przemysłu wiejskiego z dziedziny mleczarstwa, przetworów owocowych, hodowli drobiu itp. zdają się również świadczyć o niewątpliwym postępie na tem polu. Ciekawy jest również dział naukowy wystawy, zawierający między innymi wzory i próby zafałszowań różnych artykułów spożywczych. Otóż te wszystkie strony pokazu kucharsko-spożywczego nie doczekały się dotąd, o ile wiemy, gruntowniejszej i poważniejszej oceny, za jaką nie mogą uchodzić pobieżne wzmianki dziennikarskie o charakterze przeważnie — reklamowym.

Co do wystawy gier i zabawek na Dynasach, to ta spełniła dobrze część swego zadania, dając żywe zadowolenie tysiącom młodziutkich widzów, którzy się przez nią przesunęli. Publiczność dorosła nie doceniła należycie zasługujących na uwagę pogadanek i odczytów z dziedziny wychowawczej i nie zbiera się na nie dość licznie. Wystawa świadczy również o pewnym postępie przemysłu krajowego, gdyż część znaczna jej okazów, te zwłaszcza, które mają i pewną wartość pedagogiczną, została wyrobiona w kraju, a są między niemi rzeczy ładne i istotnie pouczające, że przypomnimy choćby wzory chaty z całkowitem urządzeniem gospodarskiem, wiatraka z mechanizmem wewnętrznym i tym podobne przedmioty, wystawione przez jeden z zakładów freblowskich. Słuszną jednak wydała nam się uwaga p. J. Moszczeńskiej z *Głosu*, że na wystawie uderza niemile brak zabawek *zupełnie* tanich, a jednak praktycznych, trwałych i niebrzydkich, że więc i tu nie uwzględniono prawie wcale potrzeb warstw niezamożnych. *b.*

## BADANIA NAUKOWE.

# Polska a Moskwa.

### na początku XVII w.

w najnowszej literaturze historycznej.

Na początku XVII w. państwem moskiewskiem wstrząsnęły zaburzenia, które sprowadziły poważne zmiany w ustroju społecznym kraju i mogły wywrzeć stanowczy wpływ na dalsze jego losy. Polacy, Litwini i Rzeczpospolita odegrali w dziejach owego zamętu, owej „smuty,“ wybitną rolę. Wogóle stosunki polsko-moskiewskie mają olbrzymie znaczenie w losach Rzeczypospolitej. Wiadomo, że w ciągu trzech wieków pomiędzy nią a państwem moskiewskiem, które za Piotra przekształciło się na rosyjskie, toczyła się walka, zakończona zagładą Rzeczypospolitej. W dziejach tej walki była chwila, mianowicie w początkach XVII., kiedy się zdawało, iż Polska zdobędzie przewagę polityczną nad Moskwą. Na tronie moskiewskim miał zasiąść królewicz polski i połączyć oba państwa węzłami unii, nad której urzeczywistnieniem pracowali podówczas tacy ludzi, jak hetman Żółkiewski, której pragnęła już szlachta polska i litewska na schyłku XVI w. Świadoma swej wyższości cywilizacyjnej, nie obawiała się ona nawet despotyzmu Iwana Groźnego i gotowa była oddać mu, po wygaśnięciu dynastyi Jagiellonów, koronę Rzeczypospolitej.

„Świetnie i z duchem narodu polskiego zgodnie zagaił Żółkiewski — powiada historyk [1]) — sprawę unii pomiędzy Rzecząpospolitą a carstwem moskiewskiem, ale

[1]) T. Korzon: *Historya nowożytna*, wyd. 2-ie. Warszawa, 1901, str. 491.

szwedzka głowa Zygmunta nie była zdolną ani ocenić, ani zrozumieć dzieła jego.“ Sądzimy, że unia nie doszła do skutku dla przyczyn, sięgających daleko głębiej w rdzeń życia dziejowego i postaramy się uwidocznić to w dalszym ciągu.

W stosunkach Rzeczypospolitej z Moskwą za Zygmunta III tkwi poważny moment powszechno- dziejowy. Ówczesne zamieszki w państwie moskiewskiem usiłowało wyzyskać dla swoich celów papiestwo, które już, poczynając od Iwana III-go próbowało przekonać władzców moskiewskich o zbawienności dla nich i ich poddanych przyjęcia unii kościelnej, tj. próbowało rozciągnąć władzę swoją i na kościół wschodni. Zdaniem znakomitego naszego badacza Al. Brucknera, takie pojmowanie owej chwili dziejowej jest z gruntu fałszywe, bo spiski samozwańcze, które podówczas trapiły epidemicznie Moskwę, stanowiły sprawę wyłącznie moskiewską. Wina Polski i ojców polegała na tem, „że proszeni nie odmawiali pomocy, jedni radzi awanturze, w nadziei zysków doczesnych, zbogacenia się rychłego, spłacenia olbrzymich długów itd., drudzy dla nieba i władzy pracując i łudząc się marą zgnębienia religii w samym jej mateczniku.“ [1]) Samemi temi słowy badacz dowodzi chyba — wbrew własnemu twierdzeniu, — że na dzieje tej chwili życia państwa moskiewskiego można i należy zapatrywać się, jako na „epizod walki katolicyzmu o panowanie nad światem.“ Cóż bowiem innego znaczy owa praca dla nieba i wiary, jeżeli nie dążenie do ustalenia na ziemi jednego kościoła powszechnego pod jedyną władzą papieża?

Ostatniemi laty ukazało się sporo dzieł i rozpraw, usiłujących rozwikłać zagmatwane dzieje tego czasu, przyczem uwagę badaczów przykuwa przedewszystkiem, jak i dawniej, zagadkowa postać pierwszego pretendenta do korony moskiewskiej. Historycy dawniejsi wypowiadali o pochodzeniu jego sądy najrozmaitsze. Jedni uważali go za Gryszkę Otrepjewa, mnicha, który uciekł z klasztoru moskiewskiego w granice Rzeczypospolitej, tj. uznawali za prawdziwą wiadomość, którą rozgłosił car Borys Godunow, gdy się pretendent do tronu ukazał. Drudzy odrzucali, te wersyę, jako fałszywą, twierdzili, że Gryszka Otrepjew a pseudo-Dymitr były to dwie różne osobistości i dowodzili, że pretendent a następnie car moskiewski (1605—1606) szczerze wierzył w swoje pochodzenie od Iwana IV, ponieważ ci, którym było to na rękę, zdołali weń wmówić tę wiarę. Byli nawet tacy, którzy usiłowali dowieść, że był on istotnie synem Groźnego, uratowanym z rąk morderców w Ugliczu itp.

Najnowsze badania nie rozstrzygają także sprawy, kto był pseudo-Dymitr. Uczyniły one wszakże niemało dla wyświetlenia prawdy, rozproszyły bowiem sporo uprzedzeń, uprzątnęły dużo fałszów i sięgnęły głębiej w istotę faktów dziejowych. Mimochodem zaznaczyć musimy, że zagadnienia o osobistości pseudo-Dymitra nie należy uważać za pustą łamigłówkę, historyczną, która zaspakaja tylko próżną ciekawość. To lub inne jego rozwiązanie rzuca odpowiednie światło na przebieg wypadków dziejowych.

Otóż dzięki nowszym badaniom znamy prawdę historyczną lepiej, niż nasi — poprzednicy.

Al. Hirszberg w dziele swem: „Dymitr Samozwaniec“ (Lwów, 1898) na podstawie materyałów, skrzętnie uzbieranych w różnych archiwach i bibliotekach, opowiedział szczegółowo i zajmująco dzieje pretendenta do tronu moskiewskiego. Podnosząc pytanie, kto był samozwaniec, historyk wypowiada swe zdanie nader oględnie. Przy-

[1]) Al. Brückner: *Tragedya moskiewska.* Kraków 1900, str. 60—61.

puszcza on, że należy uważać za prawdziwą wiadomość, według której pseudo-Dymitr miał być nieślubnym synem Batorego. Trudno się zgodzić na to zdanie, ponieważ badacz popiera je tylko dowodami ogólnikowej natury, niewysnutymi wcale z dokumentów. Jakie są dowody historyka, niech za przykład posłuży szczegół następujący. Według mniemania Hirszberga, samozwaniec posiadał imponującą pewność siebie, którą mogło dać mu tylko głębokie przeświadczenie o swojej wyższości, o pochodzeniu swem, stawiającem go nieskończenie wyżej nawet od bojarów najznakomitszych, a na równi z innymi monarchami (str. 288).

Zbyt ryzykowny pogląd Hirszberga znalazł drugiego obrońcę w naszej literaturze historycznej, ale obrońcę nader słabego, rozporządzającego dowodami, które wprost trącą komizmem [1]). Medale i monety Stefana Batorego świadczą rzekomo, że król ten miał pod prawem okiem brodawkę; taką brodawkę miał na swem obliczu i Dymitr Samozwaniec, tylko już nad prawem okiem. Historyk najpoważniej upatruje w tej brodawce sprawę dziedziczności! Mniejsza już tu o bagatelizowanie doniosłej sprawy biologicznej — badacz naraził się na jeszcze większą śmieszność przez to, że przytoczył dowody, niezgodne z rzeczywistością. Okazuje się bowiem, że Samozwaniec posiadał nie jedną, ale aż dwie brodawki!

Takie poglądy na pochodzenie Samozwańca, przypuszczenia, że urodził on się w granicach Rzeczypospolitej i tu przysposobił samodzielnie, czy też ulegając czyimś wpływom, do wystąpienia na widownię polityczną, nie wytrzymują dziś, zdaje się, krytyki naukowej. Lingwistyka i paleografia dostarczyły dowodów, że był on z pochodzenia Wielkorosyaninem. Znany badacz stosunku Rzymu z Moskwą, ks. Pierling, odszukał list, który Samozwaniec napisał do papieża Klemensa VIII zaraz po swojem przejściu na katolicyzm [2]). Otóż badania lingwistyczne i paleograficzne tego listu [3]) wykazały niezbicie, że ten, kto go pisał, niezupełnie dobrze znał grafikę polską, więc popełniał przy pisaniu liter błędy, świadczące znowu, że władał dobrze pisownią cerkiewnoruską i mową wielkorosyjską.

Wobec tego sądy historyków rosyjskich, upatrujących w Samozwańcu osobistość, użytą przez Polaków za narzędzie do wywołania zamętu w państwie moskiewskiem i zwalających na intrygę polską odpowiedzialność za nieszczęścia, które trapiły kraj ten na początku XVII w., nie mogą uchodzić już za naukowe. Nie ulega wątpliwości, że samozwaństwo było wytworem życia moskiewskiego, zaburzenia zaś ówczesne — wynikiem rozstroju państwa i społeczeństwa. Uznają to sumienni i bezstronni badacze, choćby nawet różnili się między sobą w poglądach na pochodzenie Samozwańca. Brückner [4]) i Pierling [5]) utożsamiają go z Gryszką Otriepjewym, Szczepkin [6]) rozróżnia te osobistości i przypuszcza, że Samozwaniec był nieślubnym synem Iwana Groźnego, albo jego wnukiem

[1]) T. Wierzbowski: *Matierjały k istorii moskowskawo gosudarstwa w XVI i XVII st. „Smutnoje wremia w sowremiennoj jemu polskoj litieraturie.* Warszawa, 1900.

[2]) *Lettre de Dmitri, dit le Faux à Clément VIII, publiée par le P. Pierling.* S. J. Paris, 1898.

[3]) J. Baudouin de Courtenay: „Strona językowa oryginału polskiego listu Dymitra Samozwańca do papieża Klemensa VIII z d. 24 kwietnia 1604 r., z Rozp. Akad. Um. Wydz. filolog., t. XXIX“ i S. Ptaszycki: „Pismo pierwawo samozwanca itd.“ Peterb. 1899.

[4]) „Tragedya moskiewska.“

[5]) *Wer war Pseudodemetrius* („Archiv für slavische Philogie,“ Bd. XX—XXII.

[6]) *Nazwannyj Dimitrij. Nowaja postanowka woprosa o niom* (*Wiest. Jew.* 1901, janwar).

(takim samym synem carewicza Iwana). Ciekawe są zapatrywania tego historyka na przyczyny „smuty." Pseudo-Dymitr spędził pierwsze lata swej młodości w klasztorze, gdzie ukrywał się także pod imieniem Otrepjewa, skąd poszło jego utożsamienie z Gryszką Otrepjewem. Znalazłszy poparcie śród duchowieństwa ruskiego (zwłaszcza wśród mnichów) i urzędników moskiewskich (dyaków), posiłkowany przez licznych zbiegów, którzy należeli do czeladzi wygnanych przez cara Borysa, albo prawie zupełnie wytępionych rodów bojarskich, mógł pseudo-Dymitr wystąpić jako pretendent do tronu i rywal Godunowa.

Inaczej sprawę tę pojmuje drugi historyk rosyjski, Płatonow, którego dzieło „Oczerki po istorii smuty w moskowskom gosudarstwie," napisane z wielkim talentem, przyczyniło się najbardziej do pogłębienia znajomości naszej owych czasów. Zdaniem tego badacza, w organizacyi państwa moskiewskiego tkwiły dwie sprzeczności, które z biegiem czasu coraz bardziej dawały się we znaki różnym warstwom społecznym. Absolutny monarcha moskiewski musiał rządzić państwem za pomocą arystokracyi bojarskiej, która rządów podobnych znosić nie chciała, skutkiem czego wybuchły w drugiej połowie XVI w. zatargi bojarstwa z absolutyzmem Iwana Groźnego, a zarazem coraz bardziej potęgowało się niezadowolenie w kołach bojarskich.

Powtóre, rząd moskiewski, opierający potęgę swą na podstawach demokratycznych, czynił je coraz słabszemi przez to, że zmuszony był dla różnych przyczyn, przedewszystkiem zaś dla wzmocnienia obronności kraju, powiększać ciężary państwowe, ponoszone przez niższe stany społeczne, co prowadziło je do coraz większego ubóstwa. Skutkiem tych przyczyn nastąpił w życiu państwa moskiewskiego kryzys, który wywołał na początku XVII w. cały szereg zaburzeń politycznych i społecznych. Rozważając badane zjawisko, historyk pomija całkiem przyczyny, które uwarunkowane były właściwościami ówczesnego umysłu moskiewskiego, co, zdaniem naszem, stanowi poważną lukę w jego dziele. Usuwa ją poniekąd wzmiankowana wyżej rozprawa prof. Brücknera, mówimy — poniekąd, ponieważ praca ta nie jest dziełem, badającem gruntownie pewną grupę zjawisk dziejowych, lecz tylko szkicem, co zresztą sam autor zaznaczył w tytule rozprawy. Jednakże daje tam historyk świetną charakterystykę umysłowości moskiewskiej w XVI i XVII w. Cechowały ją: fanatyzm religijny, zacięta nienawiść do wszystkiego, co obce; zarozumiałe uwielbianie wszystkiego, co swoje, brak niemal zupełny ogłady i wykształcenia i bierna uległość wobec wszelkich nakazów władzy. Był to typ tak odmienny od polskiego, że wspólne pożycie ich na zasadach unii byłoby niemożliwe.

„Arystokratyczna, a raczej oligarchiczna Polska — powiada historyk — i autokratyczna, a względnie demokratyczna Moskwa, nie rozumiały się nawzajem; rozbujały, rozpasany indywidualizm szlacheckiej Polski ani przeczuwał niebezpieczeństwa, grożącego mu od państwa, którego wszystkiemi siłami jedna, jedyna wola kierowała." Więc nie politykę Zygmunta III należy oskarżać o to, że sprawa unii, zagajona przez hetmana Żółkiewskiego, doznała niepowodzenia; na drodze do jej urzeczywistnienia stanęły daleko ważniejsze przeszkody.

Na zakończenie zaznaczamy, że do poznania stosunków polsko-moskiewskich na początku XVII w. mamy obecnie bardzo ciekawe i ważne źródła historyczne, wydane przez Al. Hirszberga, a mianowicie pamiętnik Stanisława Niemojewskiego i dyaryusz Wacława Dyamentowskiego oraz Jana Piotra Sapiehy. Pamiętnikarze ci brali często bezpośredni udział w wypadkach, które rozgrywały się w Moskwie XVII w., więc wiadomości, podane przez nich, posiadają tem większą wartość dla historyi*).

*Witold Nowodworski.*

*) Ostatnie dwa pamiętniki wydano p. t. *Polska a Moskwa w pierwszej połowie XVII w.* Lwów, 1901.

---

## LITERATURA I SZTUKA.

# Emil Zola.

I.

Niespodziewany wypadek wykreślił nagle z listy żywych człowieka, który, gdyby to było w jego mocy, przedłużałby do nieskończoności życie własne, tak bowiem je cenił, tak wiedział, co zrobić z każdą chwilą, jak najmniej zniechęcał się jego przeciwnościami, nigdy nie wątpił o jego wartości, celu i przeznaczeniu, a przytem jak najracyonalniej umiał korzystać z tego, co daje ludziom, nie wymagając od niego rzeczy niemożliwych. Życie jego wypełnione było trudem ogromnym po brzegi — poruszały niem pragnienia mocne i stałe, kierowały idee jasne i jednolite; przytem ten człowiek umiał się łudzić systematycznie, wbrew wszystkiemu i wszystkim, tak samo, jak umiał pracować systematycznie, nie oglądając się na głosy nagany, na zarzuty i powątpiewania o jego pracy. Przez całe życie umiał być sobą, metodycznie, z uporem i zawziętością bezprzykładną, rozwijał wciąż swoją istotę zasadniczą, wysnuwał treść jej cierpliwie, nie doznając znużenia, wylewał ją niezmiennie w formy jedne i te same, świadomy tego, co robi, nie kuszony i nie niepokojony tem, co się dzieje na stronach, przeświadczony z góry i pewny, niesłuchający wszelkiego rodzaju „bajarzy."

Ogromny swój talent wsparł tem pragnieniem hartownem jednego, tym uporem zaciętym i wolą stałą—i zmusił go do stworzenia dzieła dużego, masywnego, z bloków całkowitych ułożonego, nakształt budowli cyklopicznych, nieokrzesanego nieraz i surowego, ale spojonego trwale, imponującego jednością swoją i rozmiarami. Z mocy i niezłomności talentu zmarłego powieściopisarza, z jego temperamentu krewkiego i uporczywego, z jego złudzeń i idej, głęboko w duszę wkorzenionych, płynęły jego błędy i fałsze, zarówno jak jego potęga i wielkość. Rzućmy okiem na to wszystko.

* * *

E. Zola wzrósł w tym okresie czasu, w którym umysłowość wieku XIX doznała gruntownego przekształcenia, pod wpływem świetnych zdobyczy, osiągniętych zwłaszcza w dziedzinie nauk biologicznych. Pomiędzy r. 1850—70, dzięki badaniom Darwina, Claude Bernarda, Pasteura, Haeckla itp. przyrodników, pod wpływem prac filozoficznych Spencera, Milla, Baina, wreszcie H. Taine'a, E. Renana itp. myślicieli, atmosfera umysłowa odmieniała się zasadniczo, sprzyjając rozpowszechnianiu się nowych poglądów na naturę i człowieka, na społeczeństwo i jego funkcye. Spirytualistyczne poglądy na życie, utrzymujące działanie woli tajemniczej, różnej treścią i pochodzeniem od reszty stworzenia, ustępują miejsca teoryom naukowym i systematom filozoficznym, usuwającym z życia natury czynniki mistyczne, niedostępne dla myśli. Świat ducha zostaje uzależniony od świata materyi, życie organiczne wytłomaczone działaniem tych samych sił, które rządzą światem fizycznym— człowiek przestaje być wyjątkiem w naturze, podlegającym innym koniecznościom, niż ona. Umysły zaprzątnięte są teraz więcej sprawą, „jak" dane zjawiska wyglądają, niż tem, jaką jest ich przyczyna pierwsza i cel ostateczny. Badania intuicyjne, konstrukcye czysto rozumowe, imaginacyjne, ustępują miejsca badaniom posiłkującym się metodą doświadczalną, ścisłą obserwacyą rzeczywistości, tłomaczeniu jej faktów i zdarzeń, jako nieuniknionego wyniku działania sił naturalnych. Kult dla nauki, wiara w jej rezultaty, w jej wpływy dobroczynne na życie ludzkości, rośnie wśród ogółu. Duch naukowy przenika wszelkie rodzaje twórczości ludzkiej, przedostaje się do umiejętności, poświęconych badaniu człowieka moralnego, przenika również twórczość najbardziej niezależną — imaginacyjną, stwarza w dziedzinie literatury i sztuki nowe pragnienia, dążności i zamiary. Twórczość literacka zwróci się do życia bezpośredniego, zacznie unikać podszeptów wyobraźni i badania intuicyjnego rzeczywistości, wejdzie na drogę ścisłego jej odtwarzania, w świetle danych, zdobytych przez wiedzę ścisłą, na podstawie metody doświadczalnej, wypróbowanej przez naukę.

Powieść, poezya, teatr, krytyka literacka zmienią się zasadniczo, pomiędzy r. 1850—70, pod wpływem tego rodzaju dążeń i ambicyi. Twórczość literacka wejdzie w okres naturalistyczny, pozytywny i krytyczny, w którym głównej roli nie będzie już odgrywała wyobraźnia, jak w okresie poprzednim, dowolność i samowola fantazyi, nieskontrolowanej doświadczeniem i rozumowaniem surowem, lecz rozum, spragniony prawdy, poznający rzeczywistość, zgodnie z wymaganiami ścisłej wiedzy o niej. Podobny kierunek twórczości reprezentują, w tym czasie, we Francyi tacy znakomici pisarze, jak G. Flaubert, bracia Goncourtowie, Leconte de Lisle (wogóle większość poetów ze szkoły „Parnasu"), A. Dumas (syn) itp. Na żadnym z nich wszakże nie odcisnął on tak niezatartego piętna, nikogo tak nie zjednał i nie przywiązał ku sobie, nikogo nie natchnął taką mocną wiarą w jego przyszłość i taką chęcią wcielania w życie jego zasad, jak właśnie E. Zolę, który był nie pierwszym jego wyznawcą, nie jedynym inicyatorem, nie najświetniejszym talentem, ale stanowczo najwytrwalszym bojownikiem, najśmielszym teoretykiem, najfanatyczniejszym mistrzem.

Na wiele lat przed nim Balzac traktował człowieka, jako wytwór środowiska materyalnego, odtwarzając je drobiazgowo, Stendhal zaś sprowadzał życie psychiczne jednostki do namiętności pierwiastkowych, koniecznych, których rozwój i działanie śledził z przenikliwością i metodą przyrodnika. Przed wystąpieniem Zoli Flaubert poddawał życie ludzkie fatalizmom stosunków zewnętrznych, odtwarzał rzeczywistość beznamiętnie, przedmiotowo, przejęty ideałem sztuki bezosobistej, wolnej od subjektywizmu twórcy; bracia zaś J. i E. Goncourtowie uganiali się za „dokumentem ludzkim," do maniactwa chorobliwego doprowadzając gromadzenie szczegółów, opis i wyliczanie przedmiotów tego otoczenia, w którem poruszają się ich bohaterowie. Wszyscy oni stawiają sobie obowiązki sumiennego obserwowania życia, wszyscy dążą do objęcia całej rzeczywistości, nie wyłączając z niej faktów odrażających, dotykających uczucia, przejmujących wstrętem do życia; wszyscy wreszcie wzmacniają wyobraźnię swoją doświadczeniem naukowem, nieosobistem i twórczość swoją harmonizują z wiedzą ścisłą o człowieku i świecie. E. Zola jednak wszystkich ich przeszedł w uwielbieniu dążności naukowych swego czasu, został najbardziej olśniony wynikami badań przyrodniczych

nad człowiekiem, najgłębiej uwierzył w to, że twórczość imaginacyjna powinna być „poważną, naukową ankietą o człowieku moralnym,“ że ma te same cele i zadania, co nauka, tych samych środków i metod powinna używać, co i ona. To też pretensye i upodobania niby-naukowe swoich poprzedników systematyzuje Zola z całą świadomością i uporem niczem niezachwianym. Nie poprzestaje on na dokładnem obserwowaniu rzeczywistości bezpośredniej, osobiste spostrzeżenia nie wystarczają mu, czerpie więc dowoli z materyałów, nagromadzonych przez innych, zastępuje obserwacyę bezpośrednią doświadczeniem poszczególnych działów wiedzy ludzkiej. Rzeczywistość całą usiłuje Zola odtwarzać, zgodnie z takimi poglądami na świat i bieg spraw jego, do jakich upoważnia go nauka, albo to, co za nią uważa. Od Claude Bernarda przejmie metodę doświadczalną w badaniu stosunków koniecznych pomiędzy czynnościami i ich przyczynami, upatrując je głównie w ruchach świata zewnętrznego; od H. Taine'a zapożyczy jego naukę o środowisku i przejmie się raz na zawsze poglądem, że tajemnice ducha sprowadzają się do zagadnienia mechaniki, gdzie skutek ostateczny określony jest w całości przez wielkość i kierunek sił, które go wytwarzają. Darwin wstrząśnie świadomość jego teoryą walki o byt, doboru naturalnego i dziedziczności; Maudsley i paru psychiatrów francuskich odsłonią mu olbrzymią nędzę zwyrodnienia natury ludzkiej oraz wpływ anormalności ustrojowych na życie duchowe człowieka, na jego charakter, uczucia i namiętności. Przejęty tem wszystkiem, oszałamiany temi teoryami naukowemi, odczuwający ich doniosłość w sprawie zrozumienia natury ludzkiej, zapragnie przenieść ich wskazówki i metodę w dziedzinę wyobraźni, poweźmie zamiar zreformowania twórczości, jej techniki i ideałów. Zechce być nietylko obserwatorem, dostarczającym fakty w takim stanie, w jakim je spostrzega, przygotowując podstawę mocną, po której mają się poruszać postacie i rozwijać zjawiska, lecz i eksperymentatorem zarazem, uskuteczniającym doświadczenie, tj. „poruszającym postaciami w ramach danej historyi, aby wykazać, że następstwo faktów będzie takiem, jak tego wymaga determinizm zjawisk poddanych badaniu“ (por. *Le roman expérimental*).

Pod wpływem tego rodzaju przekonań, pragnień i ambicyj, powstanie szereg utworów, związanych myślą wspólną, zapłodnionych jedną teoryą, powstanie długi łańcuch powieściowy, gdzie jednostka ludzka występuje jako wytwór środowiska materyalnego i społecznego, w którem wzrasta, gdzie temperament jej i umysł, jej fizyologia i psychologia uwarunkowane są ściśle dziedzicznością i atawizmem. Wszędzie u niego związana jest ona z rasą i grupą sobie najbliższą, działa pod wpływem wszystkich swych organów— każdy jej instynkt, wzruszenie, żądza, uczucie, akt woli, zbadany jest u swoich źródeł indywidualnych i gatunkowych, wytłomaczony genetycznie, umotywowany w sposób wyraźny i prosty, bez udziału czynników tajemniczych, nieprzewidzianych przez wiedzę ścisłą, a raczej przez to, co Zola z niej przejął i najwięcej sobie upodobał. Opanowany przeświadczeniem, że twórczość literacka może być narzędziem badania naukowego, nietylko stara się w utworach swoich popularyzować i rozpowszechniać wyniki nauk i umiejętności ścisłych (psycho-fizyologię, patologię, antropologię kryminalną itp.), lecz pragnie nadto dopomagać nauce w rozwiązywaniu ich zagadnień lub co najmniej poprzeć te lub inne jej wywody, stwierdzić słuszność jej poszukiwań.

Zobaczymy dalej, jak to wszystko wygląda w dziełach Zoli.

*Wł. Jabłonowski.*

## *Notatki literackie i artystyczne.*

POEZYA. Ida Pilecka: „Kulig,“ str. 56, skł. gł. u Fiszera.

— Bronisława Ostrowska: „Opale,“ nakł J. Fiszera.

— El (K. Laskowski): „Z chłopskiej piersi,“ śpiewki, kop. 20, nakł. Dubowskiego.

— Irjal: „Cienie,“ wyd. Gebethnera i Wolffa.

— J. Nowacki: „Pieśń,“ wyd. Gebeth. i Wolffa.

POWIEŚĆ. M. Raczyński: „Dzienniczek Hanusi Tynieckiej,“ — dla dorast. młodzieży. Gebethner i Wolff.

— Z. Włodowicz: „Szczęście,“ skład u Gebethnera i Wolffa.

— H. Sienkiewicz: „Quo vadis,“ wydanie nowe, księg. Gebethnera i Wolffa.

— M. Radziewiczówna: „Wrzos,“ wyd. St. Niemiry.

— Grot-Bęczkowska: „Anima vagans,“ nakł. Warsz. spółki wydawniczej.

— K. Wójcicki: „Żeglarze,“ nakł. księg. Lissowskiej.

— K. Przerwa-Tetmajer: „Anioł śmierci,“ wydanie 3-e, w 1 tomie. Gebethner i Wolff.

— Orlicz-Garlikowska: „ Nie-komedyantka,“ (historya teatralna), wyd. J. Fiszera.

— Antoni Miecznik: „Na odajach stepowych,“ skł. w ks. Fiszera.

— Z teki samouka: „Owoce skąpstwa,“ melodramat w V akt., skład u Gebethnera i Wolffa.

— S. Sroka: „O Ludwisię.“

HISTORYA. S. Askenazy: „Wczasy historyczne,“ str. 452, nakł. Gebethnera i Wolffa.

— J. Bojasiński: „Rządy tymczasowe w Królestwie Polskiem,“ cena 1 rb., skład u Gebethnera i Wolffa.

— J. Kraszewski: „Polska w czasie trzech rozbiorów,“ studya do historyi ducha i obyczajów. Tom II, nowe wydanie z ilustracyami, nakł. Gebeth. Wolffa.

— D. Chłapowski generał: Z pamiętników: „Szlakiem legionów,“ nakł. Gebethnera i Wolffa.

GEOGRAFIA. W. Nałkowski: „Podręcznik do nauki geogr. powszech.,“ nakł. Paprockiego.

FILOZOFIA. J. Simmel: „Zagadnienie filozofii dziejów“ (Badanie z zakresu teoryi poznania), przekł. W. M. Kozłowskiego, wyd. „Przegl. Filoz.,“ skład. u Wendego.

— Windelband: „Plato,“ przeł. z niem. S. Bouffałł, wyd. „Przeg. Fil.,“ skł. u Wendego.

PODRĘCZNIKI SZKOLNE. M. Dzierżanowska: „Pisownia polska w ćwiczeniach,“ cz. I, nakł. J. Fiszera.

— C. Bogucka i C. Niewiadomska: „Książka do czytania z ćwiczeniami gramatycznemi“ (dla dzieci od 8 do 10 lat), Gebethner i Wolff.

## POEZYE

### CHAOS.

Gdy myślę o chaosie, co władał w przestrzeni,
Wstrząsając wkrąg kosmicznych sfer oponą [mgławą,
Staje mi przed oczami ten obraz jesieni.
Z wyjącemi wichrami i liści kurzawą...

Zdaje mi się, że słońce buchające lawą,
Wyrzucało w przestrzenie miliardy płomieni,
I że światy, wirując, połyskały krwawo,
Jak liście, gdy szron w szkarłat ich barwy za- [mieni...

Że etery deszcz mgławic przenikał ognisty,
Napełniając otchłanie piekielnym łoskotem,
Jakby światy strącone padały pokotem,
Zaścielając bezkresne gościńce wszechświata,
A w górze—zgraja wichrów szalała skrzydlata,
Wydając dzikie ryki, skowyty i świsty...

*Wiktor Dzierżanowski.*

## KRONIKA.

**Wiadomości społeczne.** W „Zbiorze praw i rozp.“ czytamy, że Generał-Gubernatorowi warszawskiemu nadane zostało prawo zamykania wszelkiego rodzaju bibliotek i czytelni publicznych w Królestwie Polskiem.

— *Gaz. Polska* donosi, że kurator odeskiego okręgu naukowego zawiadomił zarząd szkółki parafialnej przy kościele rzymsko-katolickim, iż wiceminister oświaty Renard, zezwolił na zniesienie istniejących przy kościele dwóch elementarnych szkółek a otwarcie wzamian jednoklasowych z oddziałami równoległymi. Przytem ministeryum zgodziło się na usunięcie wykładu języka cerkiewno-słowiańskiego i zaprowadzenie natomiast nauki języków: francuskiego, niemieckiego, włoskiego i polskiego.

— Minister spraw wewnętrznych zakazał publicznego wykonywania pieśni religijnych przez gramofony.

**Szkoły.** Za naukę przyrodoznawstwa w gimnazyach warszawskich pobierana będzie od uczniów opłata dodatkowa 5 rb. za półrocze.

— Na zasadzie okólnika, wydanego przez ministeryum oświaty, w gimnazyach warszawskich powiększono pauzy małe z 5 do 10 minut, dużą zaś — do 55 m. Nadto postanowiono przeznaczyć w ciągu roku 7 dni na wycieczki pozamiejskie, które odbywać się będą wówczas, jeżeli w okresie dwutygodniowym nie przypadną dni galowe lub święta uroczyste.

— W politechnice lwowskiej wydano następujące rozporządzenie: „Kandydaci na słuchaczów lwowskiej szkoły politechnicznej, którzy nie posiadają ważnego w obrębie państwa austryackiego świadectwa dojrzałości szkoły realnej lub gimnazyum, a pragną być imatrykułowani jako słuchacze zwyczajni, na podstawie innych świadectw, w myśl § 26 statutu organizacyjnego szkoły winni wystosować do ministeryum wyznań i oświaty w Wiedniu podanie na piśmie, zaopatrzone w świadectwa odbytych studyów i złożyć je u dziekana odpowiedniego wydziału w półroczu zimowem najpóźniej po d. 15 października, a w letniem — do d. 7 marca. Podania, wnoszone po tych terminach, pozostaną bez skutku.“

**Ruch kobiecy.** *Warsz. Dn.* donosi, iż główny zarząd kas oszczędności postanowił zastąpić personel męzki w kontroli wszystkich filij przez kobiety. Warunkiem koniecznym dla otrzymania posady jest wykształcenie wyższe, przytem wolne miejsca oddawane będą tylko kobietom niezamężnym i wdowom bezdzietnym. Wprowadzenie tej zmiany zaczyna się od głównej kasy w Petersburgu.

— Kobiety, posiadające wymagany stopień naukowy, otrzymały pozwolenie prowadzenia wykładu języków nowożytnych w średnich szkołach rządowych i prywatnych.

**Hakata.** Do zarządu parafialnego kościoła katolickiego w Berlinie wybrano przez głosowanie 8 Polaków. Jednakże proboszcz parafii, ks. Jeder, Niemiec, wybory te unieważnił i wyznaczył nowe, nie wyjaśniając istotnej przyczyny nieważności. Polacy postanowili ponownie nie głosować, lecz dochodzić praw swoich u władzy.

— Z rozporządzenia władzy wszystkie polskie towarzystwa studenckie w Halli będą rozwiązane od 1 stycznia r. p.

**Wiadomości naukowe.** Komitet zarządzający Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem im. J. Mianowskiego, zawiadamia, że z zapisu Jakóba Natansona przyznane zostaną w r. 1905 dwie nagrody pieniężne. Jedna za najlepszą pracę z dziedziny nauk ścisłych (matematyka, nauki przyrodnicze włącznie z biologicznemi), ogłoszoną drukiem w języku polskim w latach 1901, 1902, 1903 i 1904; druga za takąż pracę w dziedzinie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych lub tym podobnych. Zgodnie z ustawą Kasy pomocy i stosownie do zastrzeżeń, uczynionych przez zapisodawcę, powyższe nagrody udzielone być mogą jedynie poddanym rosyjskim, mieszkańcom Królestwa Polskiego, w Królestwie urodzonym. Komitet zarządzający Kasą własnem staraniem usiłował zebrać, dla poddania ocenie prace, ogłoszone drukiem w wymienionym okresie; dla uniknienia jednak możliwych przeoczeń, prosi o składanie ich w biurze lub na ręce jednego z członków Komitetu.

**Literatura i prasa.** Redakcya *Wędrowca* ogłosiła konkurs na jednoaktowy utwór dramatyczny, z wyłączeniem farsy i wodewilu. Nagrody dwie: 100 i 60 rb. Termin dla nadsyłania prac 1 grudnia r. b. Owoce tego turnieju literackiego mają zasilić repertuar „Miłośników sceny."

**Zdrowie publiczne.** Departament medyczny ministeryum spraw wewnętrznych obradował nad sprawą przejścia handlu aptekarskiego w ręce rządu, aby tym sposobem ułatwione zostało nabywanie lekarstw przez klasę ubogą, oraz udzielanie bezpłatnej pomocy lekarskiej. Obliczono bowiem, że nawet przy obniżeniu ceny lekarstw o 25 proc., starczyłyby jeszcze zyski na utrzymanie przy każdej aptece lekarza do porad bezinteresownych. Ostatecznie jednak projekt ten nie uzyskał zatwierdzenia, natomiast mają być wprowadzone znaczne ulgi przy wydawaniu pozwoleń na otwieranie aptek, co ma zapobiedz zmonopolizowaniu handlu w nielicznych rękach.

— Koreę nawiedziła cholera.

**Wiadomości ekonomiczne.** Wydane zostało rozporządzenie, zabraniające wycinania lasów w Królestwie Polskiem na gruntach obciążonych służebnościami.

— Wzbroniony został przywóz z zagranicy do Rosyi akcyj i świadectw tymczasowego żydowskiego Banku kolonizacyjnego („Jewish colonial trust") w Londynie.

— D. 1 października otworzono w Ekaterynodarze wystawę przemysłowo-rolniczą, na którą nadesłali znaczną część okazów przemysłowcy warszawscy.

**Koleje i komunikacye.** Na odbytym w Petersburgu zjeździe naczelników ruchu kolejowego postanowiono utworzyć na każdej drodze posadę naczelnika pociągu, do którego należeć będzie nadzór nad punktualną jazdą według rozkładu i przedsiebranie środków przeciw opóźnianiom; czuwanie nad czystością i porządkiem, nad odpowiedniem umieszczeniem podróżnych oraz przedsiebranie środków przeciw przepełnianiu wagonów; pośredniczenie pomiędzy podróżnymi a służbą kolejową w razie wynikłych nieporozumień; główna inicyatywa doraźnych rozporządzeń, w razach utrudnień ruchu lub nieszczęśliwych wypadków, oraz zapobieganie przejazdom pasażerów bez biletu.

**Katastrofy.** Z Limy (Peru) donoszą, iż góra Chullapata, która dotąd wcale nie była uważaną za wulkaniczną, wyrzuca chmury dymu i popiołu przy daleko rozchodzących się grzmotach podziemnych.

**Zmarli.** Jan Perdzyński, artysta-malarz, w Warszawie, w 31 roku życia.

— Gustaw Gossler, b. pruski minister oświaty, ten sam, który zniósł naukę języka polskiego w szkołach. Umarł na stanowisku naczelnego prezesa Prus Zachodnich.

## OFIARY

*Dla Biegasa* rb. 90, zebrane przez doktorową Zofię Dobkiewiczową z Kijowa; rb. 10 dr. Peszyńscy z Berdyczowa.



Redaktor i Wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 26 Сентября 1902 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.